

TECZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM V.



WARSZAWA.

1839.

478165

2

Biblioteka Jagiellońska



1002421546

~~52
I 1200p~~

~~741
56.~~

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



440086

I

1839, 5-6

SZCZĘŚCIE

W GRZE.

(powieść E. F. A. Hofmana)

Wjesieni 182...roku, wody Pyrmontskie wicęj
miały gości jak zwykle. Codzién powiększała się
napływ bogatych cudzoziemców, i podniecał za-
pał spekulantiów różnego rodzaju w których za-

wsze obfitują podobne miejsca. Przedsiębiorcy banku faraonowego nie zostali w tyle, zielone sukna pokryli stosami złota, aby przynęcić łatwowiernych których blask kruszczu nieomylnie uwodzi, jak ponęta której używa myśliwy dla pochwycenia nierozważnej zdobyczy.

Wiadomo każdemu, że w porze używania kąpieli, w tych zgromadzeniach zabaw, gdzie każdy opuściwszy swoje nawyki, oddaje się bezczynności, gra staje się prawie namiętnością, której się oprzecz niepodobna. Łatwo zdarzy się widzieć osoby, które dawniej nigdy prawie kart w rękę nie miały, bez odetchnienia siedzące przy zielonym stoliku i zagłębione w niebezpiecznych wyrachowaniach gry. Potrzeba dobrego tonu aby co wieczór kilka sztuk złota stawić na los, przyczynia się wiele do utrzymania téj niebezpiecznej namiętności.

Młody baron niemiecki, którego nazwiemy Siegfried, był sam jeden wyjątkiem od tego powszechnego prawidła. Kiedy wszystko biegło do gry i tym sposobem niszczyło środki przyjemnych rozmów, on oddalał się do swojego pokoju z książką, albo szedł na przechadzkę i

podziwiał naturę, która jest tak piękną w tym czarownym kraju.

Siegfried, był młody, niezawisły, bogaty, obdarzony postacią szlachetną, obliczem ujmującym i niezawodnie byłby kochanym, a jego myśl zaszczytu skutkiem wieńczył. — Szczęśliwa gwiazda zdawała się nad nim unosić i przewodniczyć mu w każdym przedsięwzięciu. Mówiono o 20 miłośkach, wzyśtkich szczególnych, które się dla niego rozwinęły, w sposób najprzyjemniejszy i najmniej przewidziany; opowiedano szczególnie wypadek o zegarku, który świadczył o jego nieprzerwaném powodzeniu.

Siegfried, w młodym jeszcze wieku będąc w podróży, znalazł się w tak gwałtownym braku pieniędzy, że dla odbycia dalszej drogi musiał sprzedać swój zegarek w bogatj osadzie brylantowj. Już gotów był oddać ten kosztowny klejnot, za cenę daleko niższą od wartości, kiedy stanął w tymże samym hotelu gdzie on się znajdował, pewien młody książę, który właśnie chciał nabyć przedmiot tego rodzaju i zapłacił barowi zegarek nad wartość nawet jego. Rok upłynął, Siegfried stał się pełnoletnim i posiadaczem swego majątku, gdy się dowiedział z pism publicznych, że jakiś zegarek nadzwyczaj kosz-

towny, puszczone w loteryj. Kupił los za drobnostkę—i wygrał zegarek, który sprzedał. Później zamienił go na pierścień djamentowy, kiedy, po kilko-letnich usługach, Księżę panujący, którego on był Szambelanem, chcąc nagrodzić jego gorliwość, podarował mu tenże sam zegarek i bogaty łańcuch.

Ten wypadek tém bardziej zwracał uwagę na uporczywość Siegfrieda, że nie chciał się dotknąć żadnej karty, on, do którego fortuna ciągle się uśmiechała; i wkrótce taki o nim wydano wyrok, że przyćmiwał swoim nadzwyczajnym skąpstwem, wszystkie piękne zdolności, i drżał na na sam pomysł najmniejszej straty. Nie zastanawiano się bynajmniej, że postępowanie barona, oddalało od niego nawet podejrzenie o skąpstwo i jak się to zwykle zdarza, niekorzystne mniemanie prędko przeważało i nieodwołalnie przywiązało się do jego osoby.

Baron, dowiedział się wkrótce, co o nim mówiono i chcąc zmienić opinią, pomimo wstrętu jakim go gra przejmowała; postanowił, za pomocą kilkuset luidorów zniszczyć podejrzenia, które się przeciw niemu wznosiły.—Poszedł na sałę gry, z mocnym postanowieniem przegrania summy, ze sobą przyniesionój. — Ale toż samo

szczęście, które zawsze się z nim jednoczyło; i teraz mu sprzyjało.--Każda obrona przez niego karta pokrywała się złotem. Wszystkie rachuby najdoświadczeńszych graczy, rozpraszała gra barona. Napróżno zmieniał karty, wygrana była zawsze z jego strony. Baron był rzadkim i ciekawym obrazem gracza rozpaczającego że szczęście mu sprzyja, i można było czytać jawnie, w twarzach które go otaczały, że go uważano za szaleńca, iż tak długo wyzywał fortunę i zło-rzeczył jej łasce.

Niezmierny zysk barona, zniewalał go niejako do nieustawania w grze i czekania cierpliwie aby mógł przegrać to co wygrał, ale jego gwiazda odniosła zwycięstwo. Szczęście co raz bardziej wzrastało i baron, nie postrzegłszy się nawet, zaczął znajdować stopniowe upodobanie w grze Faraona, która w całej swojej prostocie przedstawia kombinacje najniebezpieczniejsze.

Majątek przestał mu być nie przyjemnym, wszystkie jego myśli pochłonęła gra i całe noce jej się oddawał. Nie zysk go pociągał, ale sama gra, wciągnięty był tym szczególniejszym powabem o którym mu tak często wspominali jego przyjaciele, a którego on pojąć nie był w stanie.

W jednej z tych nocy, podnosząc oczy, w chwili, kiedy bankier kończył talję, spostrzegł człowieka w wieku, który stał na przeciw niego, i którego spojrzenia smutne i surowe, bez przerwy w niego były wlepione; i za każdym razem, kiedy baron grać przestawał, wzrok jego napotykał ponure spojrzenie cudzoziemca, obudzające w nim wrażenie, któremu nie mógł się oprzeć. Gdy się gra kończyła, nieznajomy opuszczał salę. Następną noc znów zajął miejsce naprzeciw barona i znów patrzył na niego także samém, widnia spojrzeniem; baron wstrzymał się jeszcze, ale gdy trzecią noc nieznajomy jeszcze się przed nim ukazał, Siegfried zawołał z gniewem:

— Mości panie, muszę cię prosić ażebyś obrał inne miejsce, przeszkadzasz mi w grze.

Cudzoziemiec uklonił się z uśmiechem bolesnym, i nie powiedziawszy ani słowa, oddalił się od stołu i z sali.

Ale nocy następnej, nieznajomy jeszcze stanął przed baronem i przenikał go swoim posępnyim wzrokiem.

Siegfried porwał się wściekłością, której nie mógł powstrzymać. — Mości panie, rzecze: je-

Żeli ci to sprawia przyjemność w ten sposób patrzeć na mnie, chciej wybrać inny czas i inne miejsce, lecz teraz. . . .

Znak ręki i palec wskazujący na drzwi, więcej powiedziały, aniżeli przykre wyrazy, z którymi baron się wstrzymał, powiedziećby mógł.

I jak poprzedniej nocy, z ukłonem, i z tytuże samym uśmiechem, nieznanomy oddalił się z wolna.

Siegfried ¹¹⁵miotany grą, wzburzony winem i wspomnieniem zajścia, jakie miał z nieznanym, nie mógł spać noc całą.

Już dzień zaczął się ukazywać, a postać tego człowieka, ciągle kresliła się przed jego oczyma. Widział tę twarz wyrazistą, głęboko zmarszczkami okrytą, obarczoną troskami, te oczy wpałe, smutku pełne, które patrzyły na niego bez przerwy i tę nędzną odzież, pod którą zdradzała się szlachetna postać człowieka dobrego urodzenia. A ta bolesna uległość, z jaką wyszedł z sali! — Nie, zawołał Siegfried, przewiniłem, bardzo przewiniłem! czyliż to w mojej naturze, abym jak

nierozważny młodzik, obrażał ludzi, którzy mi nie dali najmniejszego powodu do użalenia się? Baron nakoniec, powziął przekonanie, że ten człowiek, uważał go w uczuciu najdotkliwszej sprzeczności, jaka pomiędzy nimi istniała; on może zgnębiony brzemieniem nędzy, a baron lekomyślnie stawiający na kartę, stopy złota. Postanowił nazajutrz widzieć [się z nim i naprawić błąd, jakim zawinił przeciw niemu. —

Traf zrządził, że przechodząc się po aleach przy źródle będących, pierwszą osobą, którą napotkał był właśnie ów nieznajomy.

Baron przybliżył się do niego i prosił usilnie aby nie gniewał się za wczorajszy jego postępek, w końcu żądał wyraźnego przebaczenia Nieznajomy odpowiedział że nie ma co przebaczyć, że należy wiele rzeczy przepuścić graczom zatopionym w zapale gry, i że nareszcie on sam ściągnął na siebie nieco żywe wyrazy barona, upornie stojąc w takim miejscu, że mu przeszkadzał przy grze.

Baron przydał później: Trafiają się w życiu naszym okoliczności, gdzie człowiek nawet naj-

lepiej urodzony znajduje się się w położeniu krytycznym; i dał mu tym sposobem do zrozumienia, że gotów był część wygraną poświęcić dla ulgi nieszczęśliwego.

Mości panie, odpowiedział nieznajomy, bierzesz mnie za człowieka będącego w potrzebie; nie jestem takim zupełnie, i chociaż bardziej ubogi niż bogaty, wystarcza mi do mojego skromnego sposobu życia. Z resztą, sam przyznasz, jeżeli sądząc żeś mię obraził, chciałeś garścią pieniędzy zatrzeć obelgę, nie podobnaby mi było przyjąć podobnego rodzaju wynagrodzenia.

Zda mi się, że cię rozumiem, odpowie baron, i gotów jestem dać ci zadośćuczynienie jakiego tylko żądać będziesz.

Nieba, zawołał nieznajomy, jakże walka nie równą byłaby między nami! Bo jestem przekonany, że tak jak ja, nie uważasz pojedynku za grę dzieciinną, i nie sądzisz aby parę kropel krwi, lub draśnięcie, zdołało wynagrodzić obrazę honoru. Są wypadki, gdzie niepodobna aby dwóch ludzi cieszyło się życiem, chociażby jeden żył na Kaukazie drugi nad Tybrem; gdyż dopóty nie ma pomiędzy nimi rozdziału, dopóki myśl może się odnieść do nienawidzonego przedmiotu. Wien-

czas pojedynek stanowi, który z dwóch ma ustąpić na téj ziemi miejsca drugiemu; wtenczas jest prawnym i potrzebnym. Między nami, jak ci już powiedziałem, walka byłaby nie równą, bo moje życie nie wyrównywa wartości twojego. Jeżeli polegiesz, pozbawię świat całej nadziei, a jeżeli mię zabijesz, zakończysz tylko życie pełne udęczeń, byt już zniszczony, będący już tylko wspomnieniem srogim i okrutnym. — Ale rzecz najważniejsza, że ja się bynajmniej obrażonym nie sędzę. Powiedziałeś mi żebym wyszedł, oddaliłem się, widząc cię w zapale gry, bez zmysłów prawie.

Nieznajomy wymówił ostatnie wyrazy głosem który zdradzał gniew jego ukryty. Był to powód do nowego usprawiedliwiania się barona, mówił, iż nie wiedział co było powodem, iż wzrok nieznajomego tak głęboko przeniknął w jego duszę, że nie był w stanie znieść jego spojrzenia.

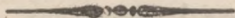
O gdyby mój wzrok mógł wcisnąć się dość głęboko, aby ci dał poznać niebezpieczeństwo na jakie się narażasz. Przybliżasz się do otchłani z całą wesołością i pustotą młodego wieku; jeden krok może cię w nią wtrącić bezpowrotnie.

Jednm swm, jeste ju przy kresie zostania namitnym graczem.

Baron utrzymywa, e nieznanomy zupełnie si myli. Opowiedzia mu okolicznoci ktre go do grania nakniy, dodaj, e skoro przegra odozonych dwiecie lub trzysta ludorw, przestanie zupełnie poniterowa. Ale a doad sprzya mu szczcie ktre go do rozpaczy przywodzi.

Niestety, zawoa nieznanomy, to szczcie, jest najstraszliwszym pocigiem wadz piekielnych. To szczcie zjakim grasz, sposb jakim rozpoczae swój zawd, cay twj rodzaj postpowania przy kartach, ktry a nadto jawnie wskazuje, jak zwolna znajdujesz w nich upodobanie, wszystko to przywodzi mi na pamie okropny los czowieka, ktry z wielu miar podobay do ciebie, zacza tak jak ty. Dla tego to nie mogem oczu moich oderwa od ciebie, dla te go to wanie, wzrok mj zagraa ci musia. Mialem odezwa si do ciebie: oto ju szatan rozpciera nad tob swoje krwi chciwe szpony aby ci wtrci w przepa piekiel! Pragnalem pozna si z tob, i udao mi si. Opowiem ci wy-

padek tego nieszczęśliwego; a może zdołam cię przekonać, że niebezpieczeństwo od którego ochronić cię chciałem, nie jest marzeniem mojej wyobraźni. Nieznajomy usiadł na ławce, dał znak baronowi aby usiadł obok niego i zaczął opowiadanie w te słowa.



ROZDZIAŁ II.

„Świetne przymioty które odznaczają cię panie baronie, rzekł nieznajomy, zjednały szacunek i uwielbienie wszystkich, dla kawalera de Ménars, i uczyniły go ulubieńcem płci pięknej. Je-

dnakże co się tycze majątku, los nie uposażył go tak jak ciebie. Był ubogim prawie, i tylko przez skromne prowadzenie się zdołał ukazywać się w świecie z tą powierzchownością przyzwoitą potomkowi szlacheckiej rodziny. Ponieważ najmniejsza poniesiona strata, mogła nadwerężyć sposób utrzymania życia, przeto wstrzymywał się zupełnie od gry, nigdy jej żadnej nie składał daniny, do tego nie miał najmniejszego pociągu do tej namiętności. Zresztą wszystko co zamyslił, z szczególaniem szczęściem mu się powiodło, tak, że szczęście pana de Ménars poszło w przyszłość.⁶⁶

„Pewnej nocy, wbrew zwyczajowi, pozwolił się wciągnąć do domu gry. Jego przyjaciele bez zastanowienia puszczały się na wszelkie trafy gry. Nie zważając na to co się działo, Ménars w innych zagłębiony myślach, przechadzał się wzdłuż i wszerz sali, spoglądając raz na grających, to znów na stół zielony po którym płynęło złoto ze wszystkich stron do stosów złota bankiera. Nagle, jeden z przegrywających, postrzegł pana de Ménars, i głośno zawołał: Niech djabli porwą, Ménars jest tu ze swoim szczęściem, a nie możemy nie wygrać, ponieważ się nie oświadcza ani za bankierem ani za gra-

jącem; ale tak dłużej niebędzie, musi natychmiast poniterować ze mną. —

„Ménars napróżno wymawia się swoją niezręcznością, brakiem zupełnym doświadczenia, grający jegomość obstawał upornie przy swoim żądaniu, i Ménars zmuszony był zająć miejsce przy stoliku.

„Toż samo właśnie trafiło się P. Ménars co i tobie parcie baronie, każda karta niosła nowy dowód łask fortuny, i wkrótce wygrał znaczną sumę dla tego który go zaprosił do poniterowania z sobą.

„Szczęście kawalera de Ménars, które obudziło zadziwienie wszystkich, niemale i na nim samym sprawiło wrażenie; jednakże nie mniejszym był jego wstręt do gry, a nazajutrz kiedy uczuł skutki całonocnego utrudzenia, bezsenności w zbytczym natężeniu myśli, przyrzekł sobie że już nigdy nie pójdzie do domu gry, pod jakimkolwiek bądź warunkiem.

Postępowanie nieznanego jegomości zdawało się bardziej jeszcze umacniać go w postanowie-

niu, gdy wspomniał, że tenże ilekroć sam poniterował grał najnieścieśliwiej, i nalegał na niego jak najusilniej, aby przynajmniej stał przy nim kiedy karty trzymał, aby oddalić złośliwego szatana; powiadano bowiem, że między graczami najczęściej słysząc się dają podobne zabobony, do tego stopnia, że pan de Méuars nie mógł się uwolnić od jego natręctwa i zurzony był w końcu oświadczyć, że woli raczej bić się z nim aniżeli grać na nowo.

Jak łatwo domyśleć się można, zdarzenie to wkrótce przebiegło z ust do ust, pomnożone dwudziesto cudownemi okolicznościami; ale ponieważ wbrew szczęśliwemu losowi, pan de Méuars trwał upornie w swoim postanowieniu nie grania więcej, nie mogli nie oddawać hołdu stałości jego charakteru i nie otaczać go szacunkiem przynależnym takiemu pięknemu postępowaniu.

Rok upłynął, kiedy de Méuars nagle w przykrém znalazł się położeniu, niespodziewaną przerwą dochodu rocznego, która stanowiła całe utrzymanie jego życia. Zmuszony wyjawić przykre swoje położenie jednemu z najwierniejszych przyjaciół, pozyskał jego pomoc, ten jednakże nazwał pana de Méuars dziwakiem i oryginałem.

„Często los rzekł mi, wskazuje nam jakim nieznanym sposobem drogę ocalenia i nasza niezdolność zabrania tylko zwracać uwagę na te zaaki i zrozumieć je. Nieznana władza głośno do ciebie przemawia: Chcesz mieć złoto i obfitość, idź i graj, jeżeli niezośtań w nędzy.,,

W tój to chwili myśl szczęścia które mu tak nadzwyczajnie sprzyjało przy kartach, silnie stanęła w jego umyśle; przez cały dzień i noc we śnie, widział tylko karty, słyszał ciągle ten jednobrzmiący głos bankiera który powtarzał: *gagne, perd*, i brzęk złota, przesuwanego się po stoliku.

To prawda, rzekł sam do siebie, że jedna taka noc, wyrwałaby mię z nędzy, uwolniła z smutnej potrzeby stawać się codziennie ciężarem moim przyjacielom, powinność każe mi słuchać tajemnego głosu który mną włada.

Przyjaciel który mu doradzał grać, przyrzekł iść z nim do domu gry, i dał mu 20 lujdorów aby probował szczęścia.

Jeżeli kiedyś poniterując dla nieznanego jego gomości, Ménars powodzeniem zwracał uwagę wszystkich, teraz gra jego była następstwem nad-

zwyczajnym przyjaźnych trafów. Wygrane złoto rosło w massy do kola niego. W pierwszej chwili zdawało mu, się że to sen przecierał sobie oczy, chwycił stół i przysawał go do siebie. Ale kiedy przekonał się o tém co go spotyka kiedy pływał prawie w złocie, kiedy liczył i przeliczał swój zysk zroskoszą, jakaś chęć pożerająca, po pierwszy raz ogarnęła go całego, utracił czystość duszy, którą tak długo zachowywał!

Zaledwie zdołał doczekać się nocy, aby wrócić do zielonego stolika. Szczęście ciągle mu sprzyjało, i w kilku tygodniach grywając po całych nocach stał się panem niezmiernej summy.


Jest dwa rodzaje graczy,—Jednym gra sama, jako gra, sprawia przyjemność tajemna, niewypowiedziana, i cieszą się nią, nie myśląc o zysku. Dziwne ogniwa trafu rozwijają się w grze najszczegółoiejszej, jakaś gromada nieznanych potęg, zdaje się ulatywać nad tobą, mniemasz słyszeć uderzenia ich skrzydeł; i pałasz żądzą uniknięcia w tę obcą dla ciebie krainę aby się za-

staanwiać nad obrotami téj maszyny, którój wpływ uczuwasz.

Znałem człowieka, który grał dzień i noc prawie, sam w swoim mieszkaniu, i który poniterował przeciwko sobie, to jest podług mego zdania gracz prawdziwy. Inni mają tylko zysk przed oczyma i uważają grę, jako sposób przedkiego wzbogacenia się. De Méuars stanął w ostatnim rzędzie, i przez to stwierdził mnie manie, że namiętność gwałtowniejsza do gry, przywiązana jest do natury indywidualnej i że się rodzi z posiadaczem onój.

„Obreć, w którym zwykle trzymają się gracze, zdawał mu się za bardzo ścieśniony, założył bank z ogromną wygraną summą, jego fortuna tak mu wierną była, że wkrótce stanął na czele jednego z pierwszych banków Paryża, życie ponure, i pełne uniesień, zniszczyło wkrótce wszystkie zdolności fizyczne i umysłowe które zjednały panu de Méuars tyle miłości i szacunku. Przestał być wiernym przyjacielem, ozdobą towarzystw, czcicielem pięknój. Wkrótce przygasł w nim zapal do nauk i sztuk pięknych, a w jego rysach bładych i martwych, w jego oczach niewzruszonych i wpadłych, widzianno jawnie, wyraz nieszczęsny namiętności, która

go pożerała. Nie była to chęć gry, ale obmierzała żądza złota, którą szatan zapalił w jego duszy: — i aby go jedném słowem określić, został najdoskonalszym bankierem; jaki kiedy siedział przy stoliku Faraona.



ROZDZIAŁ III.

„Pewnej nocy, de Ménars, nie poniosłszy znacznej straty, przecieź doznał zachwiania się fortuny. Wtenczas jakiś nrzki, stary i wychudły człowiek, nędznie ubrany z postacią prawie od-

rażającą, zbliżył się do stołu, wziął kartę i przykrył ją lujdorem. Wielu grających spoglądało na starca z zadziwieniem, obchodząc się z nim z widoczną pogardą, starzec jednak bynajmniej nie zważał na to, i nie uskarżał się.

Przegrywał — jedną stawkę po drugiej, im więcej rosła jego strata, tym więcej grający zrywali się cieszyć. I kiedy starzec podwajając zawsze swoje stawki, przegrał nakoniec pięćdziesiąt luidorówna jedną kartą, jeden z nich śmiejąc się rozpuku, zawołał: „Dobrze grasz, panie Vertua, graj tylko tak dalej jesteś na drodze do szczęścia, i wkrótce zdebankujesz bankiera.

Starzec spojrzawszy na żartownisia wzrokiem bazyliżka i szybko oddalił się, ale w pół godziny wrócił, mając kieszenie napełnione złotem. Jednakże w ostatnich chwilach starzec musiał poprzestać, bo przegrał wszystko przyniesione złoto.

Niechęć i pogarda okazywane starcowi, oburzyły P. de Ménars, który pomimo nierządnego życia umiał jeszcze czuć, i nie zapomniał granie przyzwoitości. To było powodem uczynienia uwagi grającym, którzy pozostali w sali po odejściu starca.

„Nie znasz starego Franciszka Vertua, zawo-

łal jeden z nich, gdybyś go znał, pochwalibyś zapewne nasze postępowanie. Dowiedz się więc że ten Vertua, Neapolitańczyk, od piętnastu lat jak bawi w Paryżu, okazał się ujmieźniejszą sknerą, jałi tylko być może. Nie zna on żadnego uczucia ludzkości: on by mógł patrzeć na własnego ojca umierającego u nóg swoich, a nie dałby jednego ludora żeby go ocalić. Wszędzie go ściga przekleństwo mnóstwa rodzin, które zniszczył swojemi piekielnemi spekulacjami. Kto go tylko zna, ten go nienawidzi, i każdy go zemścić niebios oddaje. Nigdy go nie widziano przy grze, teraz pojmujesz nasze zadziwienie kiedyśmy go zobaczyli wchodzącego do tego domu. Czyżby to nie było prawdziwem nieszczęściem, gdyby podobny człowiek wygrał nasze stawki. Bogactwo twojego banku przynęciło go do ciebie, i opalił swoje piórka. Już pewno nie wróci tu nigdy, i uwolnilismy się na zawsze od tego przebrzydłego skapca.

„Ta przepowiednia nie spełniła się, bo następnej nocy znówu Vertua był przy banku de Mé-nars, i przegrał jeszcze więcej jak poprzedniej nocy. Ale najmniejszego nie widać w nim było

wzruszenia, czasem tylko uśmiechnął się z gorzką ironją, jak gdyby wiedział już naprzód że wszystko wkrótce zmienić się miało. Ale przegrana starca co noc wzrastała jak lawina gór, tak dalece że nakoniec liczone iż trzydzieści tysięcy ludorów zastawił w banku de Ménars. Pewnego razu, gra już oddawna się zaczęła; wszedł blady, zmiesiony, i usiadł zdaleka od stołu, wpatrując się niewzruszenie w karty które ciągnął bankier. Nakoniec kiedy de Ménars stasował karty, i chciał zacząć nową talję, starzec zawołał głosem który przeraził wszystkich: Stój! — i rozpychając tłum graczy przecisnął się aż do bankiera, i ponurym głosem rzekł mu do ucha: De Ménars, czy przyjmiesz mój dom na ulicy Sgo Honorjusza, wraz z meblami, srebrem, klejnotami, za 100,000 franków?

— „Dobrze, odpowiedział zimno de Menars; i nie odwróciwszy się nawet do starca, zaczął talję.

— Dama, rzekł Vertua; i za pierwszym pościąganiem, dama przegrała! — Starzec zachwiał się, potoczył i oparł o mur, gdzie stał martwy jak posąg. Nikt nie zważał na niego.

„Gdy się gra skończyła, i graczo rozeszli, a de Ménars z swoim krupjerem, zgarniali złotodó szkatułki; stary Vertua przybliżył się [jak widmo i rzekł: de Ménars jeszcze słowo, jedno słowo!

— „Cóż takiego, odpowie de Ménars zamykając szkatułkę, i spoglądając na starca z pogardą.

„Cały mój majątek przegrałem do ciebie, rzeczy Vertua, już nie mam nic, nic... nie wiem nawet gdzie jutro głowę moją położę i czém głód zaspokoję; panie de Ménars, przy tobie szukam dla siebie schronienia. Pożycz mi dziesiątą część summy którą do ciebie przegrałem, abym mógł rozpocząć mój handel i wydobyć się z nędzy.

— „Co mówisz, panie Vertua, czyż nie wiesz że bankier nigdy wygranych pieniędzy pożyczać nie powinien? To się sprzeciwia przepisom od których się nigdy się nie oddalam.

— „Dobrze mówisz, panie de Ménars. Moje żądanie było dziwném, zbytęczném; dziesiątą część, nie, pożycz mi tylko dwudziestą.

— Powiadam ci, rzekł z gniewem bankier, że nie pożyczę nic z wygranej.

— To prawda, rzecze Vertua, którego twarz bladła coraz bardziej, a spojrzenia stawały się coraz posępniejszymi, prawda, że nie powinienś nic pożyczać. I jabyś tak czynił! ale jałmużnę można dać żebrakowi, daj mi sto luidorów z tych bogactw które ci traf podał w ręce.

— Tu rozniewany de Ménars zawołał: Umiesz bardzo dobrze udręczać ludzi, panie Vertua! Ale powtarzam ci, że nie dostaniesz odemnie, ani stu, ani pięćdziesiąt, ani dwudziestu, ani nawet jednego luidora. Chyba byłbym szalonym, gdybym ci dopomagał do prowadzenia dalej twojego obydnego rzemiosła. Los wtrącił cię w proch jak szkodliwego robaka, byłoby występkiem podnieść cię. Idź, i ulegnij zasłużonemu losowi.

Vertua zakrył twarz rękoma, i zaczął jęczeć okropnie. De Ménars kazał ludziom zanieść szkatułkę do swojego powozu, i rzekł donośnym głosem: Signor Vertua, kiedy mi oddasz twój dom wraz z tém co się w nim znajduje.

Vertua odpowiedział głosem pewnym: Na tychmiast. Pójdź ze mną, bankierze de Ménars:

— Kiedy tak, zawiozę cię moim powozem do twojego domu, który opuścisz jutro.

Przez całą drogę, Vertua i de Ménars, milczeli. Stanąwszy przed domem, przy ulicy S. Honorjusza, Vertua zadzwonił. Staruszka otworzyła drzwi, zawołała: dobry Boże, przecież pan przyszedłeś! Aniela już umiera prawie z niepokojności,

Milcz, krzyknął Vertua. Dałby Bóg aby Aniela nie słyszała głosu tego nieszczęsnego dzwonnika! Niech nie wie o mojem przybyciu.

To powiedziawszy, wziął świecę z rąk staruszki, która nieporuszona stała, i poświecił panu de Ménars.

Jestem przygotowany na wszystko, rzekł Vertua.—Nienawidzisz mnie panie de Ménars, pogardzasz mną, cieszysz się z mojego upadku, ale mnie nie znasz.

Dowiedz się, że ja byłem graczem, jak ty, zmienny los długo mi sprzyjał, że przebiegając Europę, gdzie tylko się zatrzymałem, wszędzie szczęście się ze mną łączyło, a złoto tak napętniało mój bank jak teraz twój napętnia. Miałem piękną i wierną żonę, zaniedbałem ją i otoczona dostatkiem, była nieszczęśliwą. Pewnego dnia w Genewie, kiedy trzymałem bank, zdarzy-

rzyło się, że młody Rzymianin, całe dziedzictwo swoje u mnie zostawił. Jak ja dzisiaj czyniłem, on również błagał mnie, o kilka sztuk złota, ahy miał o czém powrócić do Rzymu. Rozśmiałem się z pogardą i nie mu nie dałem, on z wściekłości, ugodził mię sztyletera. Doktorowie z trudnością ocalili mi życie, cierpiałem mocno i długo, nim zupełnie wróciłem do zdrowia starania żony, jej pieczyoty, były moją pociechą, osłodą cierpień i z powrotem zdrowia, odrodziła się we mnie miłość, którą sądziłem, straconą na zawsze, czyli raczej, doświadczałem uczucia nieznanego mi dotąd, bo wszystkie ludzkie uczucia gasną w sercu gracza. Nie wiedziałem jeszcze, co jest przywiązanie i niezłomne poświęcenie się żony: uczułem głęboko, jak byłem występny względem mojej, żalując szczerze, że się oddała, tak obmierzłej namiętności. Ukazywali się przedemną, w postaciach duchów mścicieli, ci wszyscy, których zgubę przyspieszyłem, których byt cały, z zimną krwią stargałem. Słyszałem ich ponure głosy, wydobywające się z mogił, które mię oskarżały, jako sprawcę tylu zbrodni.—Tylko moja żona miała władzę, oddać swoją chęć, tę okropność, te męczarnie, których opisać nie mogę. Poprzysiągłem,

że już grać więcej nie będę. Opuściłem Genewę i wyrrywając się z związków, które mię wstrzymywały, gardząc naleganiami moich krupjerów, osiadłem w małym domku wiejskim nie daleko Rzymu.

Niestety! rok tylko cieszyłem się szczęściem i spokojnością, o jakich istnieniu, nawet nie marzyłem. Moja żona, wydawszy na świat córkę, w kilka godzin umarła. Rozpacz mię ogarnęła, złorzeczyłem niebu, przeklinałem sam siebie i jak zbrodzień, który się obawia samotności, schroniłem się do Paryża.—Auiela, słodki obraz matki, wzrastała pod moimi oczyma; całe moje uczucie, w mięj się jednoczyło.—Dla nięj tylko, pragnąłem powiększenia mojego majątku.—Prawda, że pożyczadłem pieniędzy, na wielkie procenta, ale tylko potwarz obwinia mię, że oszukiwałem nieszczęśliwych, którzy się do mnie udawali.—I któż są moi oskarzyciele? nędzai, którzy mię bez ustanku nachodzą, abym im pożyczadł pieniędzy, rozrzutnicy, którzy trwonią swój majątek i gniewają się gdy się dopominam o mój dług, dług, stanowiący całe dziedzictwo mojęj córki, którego się tylko rzadca uważam.—Niedawno od hańby ocaliłem młodego człowieka, któremu z konta spadku, zaliczyłem pewną sumę.—Czy

uwierzysz panie de Ménaars, zaparł się tego długa przed sądem i nie chciał go zaspokoić? Mógłbym ci przytoczyć 20 podobnych postępków, które się zbiegły, aby przygłuszyć we mnie litość, i przekonać, że lekkomyślność zawsze za sobą zepsucie pociąga. — Więcej jeszcze mógłbym ci powiedzieć, że nie jedną łzę osuszył, że nie jedna prośba wznosiła się do nieba za mnie i za moją Anielę, nie uwierzyłbyś mi, obwinił o samochwalstwo; nie uwierzysz w uczucie, bo jesteś graczem! — mniemałem, że uspokoiły się piekielne władze, gdy tymczasem bardziej mnie jeszcze zaślepily. Słyszałem mówiących o twojem szczęściu; co dzień spotykałem graczy, których w żebraków zmieniałeś; przyszła mi myśl, że ja byłem przezuczony zamierzyć z tołą moje szczęście; że ja byłem wezwany, aby położyć koniec, twojemu zdzierstwu, i ta myśl ściagała mię bezustannie. W tej nadziei stanąłem przy twoim banku i byłem dopóty przy nim, dopóki cały majątek mojej Anieli, nie stał się twoim łupem. — Już się skończyło! Pozwoliszże mi zabrać przynajmniej ubranie mojej córki? — „To do mnie nie należy, odparł de Ménaars, możesz nawet zabrać i twoje potrzeby gospodarskie. Na

cóż mi się przydadzą twoje nędzne sprzęty? — jednakże nie waż się wziąć cokolwiek z przedmiotów więcej wartości mających, będę pilnował. Stary Vertua z wlepionemi oczyma w pana de Ménars, patrzył nań przez kilka sekund, potem strumień łez wysączył się z jego oczu, upadł do nóg jego i z wyrazem rozpaczony zawołał: — Jeszcze jedno uczucie indzkości! ulitaj się nad nani! nie mnie, mojej córce zgłowałeś zgubę! pożycz jej, jej samą, tylko 20 część wydartego majątku, pewny jestem, że się wzruszysz moją prośbą. O Aniello, dziecko moje!... I w tych przerywanych jękach, starzec powtarzał bezustannie, łkającym głosem, ulubione imię swojej córki.

— Ta teatralna scena, już mię nudzić zaczyna, rzecz de Ménars rozgniewany; ale w tejże chwili drzwi się otworzyły, młoda dziewczyna wbiegli, z włosami rozpuszczonemi, z wyrazem śmierci na twarzy, rzuciła się do starego Vertua; podnosi go, ścisła w objęciu: o mój ojczu! mój ojczu! mój ojczu! zawoła! Wszystko słyszałam, wiem wszystko. Nie masz już nic, nic dla twojej Anieli, a więc ona dla ciebie pracować będzie.

O mój ojcie, nie poniżaj się dłużej przed tym nikiemcznym człowiekiem. Nie my jesteśmy biedni; nikiemczni; on raczej, który żyje w bogactwie, opuszczony od całego świata; nie ma serca, któreby biło obok niego, w którémby składać mógł swoje cierpienia, kiedy życie otoczy go rozpaczą. Pójdź mój ojcie, opuścimy ten dom, oddalmy się, aby twoja boleść nie napawała go dłużej rozkoszą!

Vertua upadł prawie bez zmysłów na krzesło. Aniela uklękła przed nim, całowała jego ręce okrywała pieśczołami, wyliczyła z całą słodczą dziecinną, wszystkie talenta, wszystkie posiadane zdolności, których użycie, wystarczy na wyżywienie ojca; zaklinała go ze łzami, aby się nie oddawał boleści, mówiąc że będzie szczęśliwszą, kiedy będzie mogła szyc, haftować, spiewać dla swojego ojca, jak kiedy te wszystkie talenta za zabawę jej tylko służyły. Któryż człowiek mógłby obojętnie spoglądać na Anielę w całym blasku piękności, pocieszającą swojego staroego ojca i oddającą mu wszystkie skarby serca, wszystkie dowody przywiązania i pobożności?

Ménars w istocie doświadczył gwałtownych wyrzutów sumienia i dręczących niespokojności. — Aniela zdawała mu się aniołem, przed którym znikają wszystkie ułudy szaleństwa, wszystkie obłądy występku, nagle uczuł nowy płomień który zmienił całą jego istotność. De Ménars nigdy jeszcze nie kochał. Chwila, kiedy zobaczył Anielę, była dla niego źródłem cierpień bez nadziei: bo taki, jakim on się pewno okazał w oczach młodej dziewczycy, nie mógł się spodziewać wzajemnego uczucia. Chciał mówić, ale słów mu brakło: głos jego stracił moc, zaledwie zdołał wymówić te wyrazy: Panie Vertua... posłuchaj mnie... nie nie wygrałem, nie. — Oto moja szkatułka, jest twoją. Winienem ci nawet jeszcze... jestem twoim dłużnikiem.

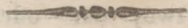
— O moja córko! zawołał Vertua.

Ale Aniela, z postacią wyniosłą postąpiła do pana de Ménars i dumnie spojrzawszy na niego, rzecze z stałością. Panie de Ménars, dowiedz się że jest na świecie coś szczytniejszego jak twój majątek i pieniądze, uczucia, których ty nie znasz, a które nam stają się niebios pociechą; te nakazują nam twój dar odrzucić z pogardą. Nie, litościwy graczu, zachowaj twój

skarbu, z którym się jednoczy przekleństwo wszystkich poczciwych ludzi!

— Tak zawołał de Ménars, niechaj będę przeklętym, niech zstąpię na dno piekieł, jeżeli ta ręka dotknie się kiedykolwiek karty! I jeżeli mię odtrącasz od siebie Anielo, pomnij, że ty sama staniesz się przyczyną mojej zguby.....Oh!.. nierozumiesz mię, sądzisz, że jestem szalony.....ale pojmiesz wszystko, kiedy śmierć zadam sobie u nóg twoich....Anielo, żegnam cię.

Po tych słowach de Ménars wyszedł, Vertua przenikał w głąb jego duszy; wiedział wszystko co się w nim działo, i usiłował przekonać Anielę, że mogłyby się wydarzyć okoliczności, któreby ją zniewoliły przyjąć ofiarę pana de Ménars. Aniela obawiała się samej myśli zrozumienia ojca. Sądziła bowiem, że zawsze tylko z pogardą patrzeć może na pana de Ménars. Ale czego pomysł sam zdawał się niepodobieństwem, stało się jednak wolą losu, który wszystkie sprzeczności umieścił w sercu ludzkim.



ROZDZIAŁ IV.

Z wielkiem zadziwieniem całego Paryża, bank pana de Ménars znikł z domu gry; jego samego nawet nie widziano więcj, ztąd się rozeszło tysiące kłamliwych pogłosek. De Ménars uni-

kał wszelkich towarzystw, miłość jego przybrała barwy najgłębszej melancholji, odbywał bezustannie samotne przechadzki, i pewnego dnia, w pusepnych aleach Malmaison, natpotkał staro-
wego Vertua i jego córkę.

Aniela, która sądziła, że nie będzie mogła spojrzeć na pana de Ménars tylko z odrazą i wżgardą, uczuła niepojęte wzruszenie, widząc go bladym, drżącym i zaledwie śmiejącym wzniesć oczy swoje na nią.

Wiadomo jej było, że od chwili w której go pierwszy raz widziała, zmienił zupełnie sposób życia! Ona, ona stała się sprawczynią tej zmiany, ona ocaliła go przed zniszczeniem, i niepodobna aby to nie pochlebiało jej próżności. Dla tego po przywitaniu się wzajemnym, pan de Ménars i jej ojca, nie mogła zamilezić, iż znajduje go, w stanie zdrowia zatrwajającym.

Te kilka słów sprawiło wszechwładny skutek. De Ménars wznosił głowę; wdzięk i uprzejmość które dawniej jednały mu wszystkich serca, znówu ukazały się w jego postaci. Nakoniec, po kilku-chwilowej rozmowie, Vertua zapytał go, kiedy obejmie w posiadanie dom wygrany.

Przyjdę jutro, zawołał de Méuars; lecz pozwól abyśmy nasz układ z zastanowieniem dojrzałym napisali, choćby tylko miał trwać kilka miesięcy.

— Dobrze, odpowiedział Vertua z uśmiechem.

De Méuars przyszedł nazajutrz w istocie, i odwiedziny jego coraz częstsze bywały. Aniela przyjaźniej spoglądała na tego, który ją nazywał, swoim aniołem zbawicielem. Nakoniec udało mu się tak zjednać sobie jej serce, że mu przyrzekła oddać swoją rękę, z wielkim zadowoleniem starego Vertua, który w tém połączeniu widział wynagrodzenie poniesionej straty.

Aniela, szczęśliwa narzeczona pana de Méuars, pewnego dnia siedziała przy oknie, i zatapiała się w myślach miłości i szczęścia, jakimi zwykle zajmują się narzeczone. Wtem, przyodgłusie trąb, widzi przejeżdżającą kompanję kawalerji, która maszerowała do Hiszpanji. Aniela nie mogła obojętnie patrzeć na tych ludzi, przeznaczonych na śmierć w tej okropnej wojnie, i kiedy z zajęciem się im przypatruje, młody człowiek targnął gwałtownie lejce konia i wznosił oczy na Anielę. Zemdlona padła na krzesło.

Był to syn ich sąsiada, Duvernet, który wychował się razem z Anielą, widywał ją codziennie, i zaprzestał bywać w ich domu, od czasu wizyty pana de Ménars.

Aniela, w spojrzeniach pełnych wyrzutów nie tylko wyczytała jak ją kochał, ale poznała nadto że i w jej sercu najtkliwsze przywiązanie tkwiło dla niego, które tylko, zbyt świetne przymioty pana de Ménars, pozornie przytłumiły. Teraz dopiero rozumiała tajone westchnienia swojego młodego przyjaciela, jego miłość skromną i milezącą; rozumiała to serce szczerze i niewinne, poznała powód wzruszeń gwałtownych, kiedy młody Duvernet był obok niej, kiedy słyszała dźwięk jego głosu.

Już zapóźno, straciłam go, zawołała Aniela. Zwalczyła udęczającą ją boleść, i walka ta wróciła jej spokojność. Jednakże przenikliwe oko pana de Ménars dostzegło, że jakiś smutek osiadł w duszy Anieli; był jednak tak delikatnym, że nie pragnął dowiedzieć się tajemnicy którą przed nim ukrywała, ale to było powodem przyspieszenia związku ślubnego, który odbył się z okazalnością.

De Ménars kochał Anielę, ile tylko wyobrazić sobie można: uprzedzał najlżejsze jęj życzenia uwielbiał ją i wspomnienie młodego Duvernet zatarło się w ięj duszy. Pierwsza chmura która z aćmiła ich spokojna życie, była słabość i śmierć starego Vertua.

Od chwili kiedy cały majątek zostawił w banku de Ménars, nie wziął kart do ręki, ale w ostatnich chwilach życia, gra zdawała się zajmować go zupełnie. Konającemi prawie usty, wymawiał jeszcze wyrazy, *perd, gagne*. Napróżno Aniela i Ménars, nactyleni nad je go łóżkiem, odwracali myśl jego, nazywając go najslodszeń i najdroższeń dla niege imieniem ojca, on zdawał się już nie słyszeć, nie poznawać wcale, i w chwili potęń umarł.

Aniela w najokropniejszej boleści, nie mogła powściagnąć wstrętu jaki w niej obudzało wspomnienie ostatnich chwil życia jęj ojca. Ta noc straszliwa, kiedy Ménars po pierwszy raz przedstawił się jęj oczom, z tą zatwardziałością namiętnego gracza, stanęła w jęj umyśle i zadrżała aby de Ménars zrzuciwszy maskę zwodniczą

nie ukazał się jej w swojej piekielnej postaci.

Nieszczęściem przeczucie Anieli zbyt prędko zjścić się miało.

Jakkolwiek przerażenie ogarnęło pana de Ménars na widok starego Franceseo Vertua, który w chwili skonu, oddał pomoc duchowną, zajęty cały występłą namiętnością, przecież żądza gry, nie zmniejszyła w nim swojej władzy, i w całonocnych marzeniach, widział się przy banku zbierającym na nowo stosy złota.

Tymczasem Aniela zajęta ciągle myślą dawnego sposobu życia jej męża, zapomniała pieśzcot które były dla obojgu wzajemną radością i podejrzenia wzrastały w duszy p. de Ménars, obojętność tę przypisywał tajemnicy która przed ich ślubem zasmuciła Anielę i której nie wyjawiała nawet mężowi. Ta nieufność, nieraz spowodowała gniew, obeiżywe wyrazy, wtenczas to Aniela przywodziła sobie w pamięci młodego Duvernet, a z nim smutne uczucie miłości, zniszczonej w chwili kiedy zapowiadała trwale szczęście dwojgu młodym kochankom. To smutne usposobienie małżouków, coraz przykryższém się stawało; tak dalece, że de Ménars w życiu spokoj-

ném znajdował tylko nudy i niesmak, i odzywała się w nim chęć wrócenia do świata.

Wzmocnił go jeszcze w tej myśli dawny jego krupjer, który jak najtroskliwiej usiłował zamieniać • śmieszność domowe jego pożycie: Nie mógł tego zrozumieć, jak można dla jednej kobiety, dla żony, porzucać świat, który sam podług niego był rozkoszą życia. Wkrótce za możny bank pana de Ménars z większą jeszcze zabłysnął świetnością.

Szczęście pozostało mu wierném, ofiara po ofierze padała przy jego stoliku, a złoto ze wszystkich stron przed nim się gromadziło. Ale szczęście Anieli, które było tylko krótko trwałém marzeniem, zostało srodze zniszczone. De Ménars obchodził się z nią z obojętnością a nawet z pogardą. Często nie widywał się z nią po całych tygodniach, miesiącach; stary intendent rządził zamkiem, służący zmieniali się bezustannie stosownie do przywidzeń szczęśliwego bankiera. Aniela stała się obcą w swoim domu, nie znając nikogo, nigdzie nie znajdowała pocięchy. Często w bezsennych nocach, słuchała zajeżdżającego powozu męża; słyszała jak stawiano ciężką szkatułkę, słyszała opryskliwe wyrazy jakimi

przemawiał do służących, i nakoniec zamykane z trzaskiem drzwi jego pokoju; wtenczas to potck łez wytaczał się z oczu biednej Anieli; nie raz w rozpacz y wymówiła nazwisko Duvernet błagając zarazem nieba, aby położyło kres o-, płakanemu jój życiu.

Pewnego razu młody człowiek dobrego urodzenia, który wszystko przegrał, wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie w téjże samej izbie gdzie de Ménars bank trzymał. Krew jego i roztrzaskany mózg, rozprysły się na grających którzy z przestachem odbiegli. Sam tylko de Ménars niewzruszony i zimny przy swoim stoliku, zapytał obojętnie czy było zwyczajem przed czasem rozchodzić się dla tego, że jeden bezrozumny, odebrał sobie życie dla tego, że mu szczęście nie sprzyjało.

Wypadek ten sprawił wielkie wrażenie. Postępek bankiera de Ménars oburzył nawet najzapamiętaleszych graczy; wszyscy na niego powstali. Oskarżono go o nieuczciwość w grze; a jego niezmiennie szczęście przyczyniło się bardzo do ustalenia tego mniemania. Nie mógł się usprawiedliwić, a nałożona kara wydarła mu część jego dóbr. Poniżony, wzgardzony, wrócił do nieszczęśliwej małżonki, która widząc

jego żal, zapomniała przewinienia, przyjęła go z tkliwością, gdyż przykład jej ojca który wyrzekł się gry, ukazywał jej jeszcze nadzieję poprawy męża.

De Ménars wyjechał z Paryża i udał się do Genewy, miejsca rodzianego Anieli.

Tam przez nie jaki czas żył w wielkiem oddaleniu od świata; ale wkrótce zgubna namiętność odżyła na nowo, i siła której oprzeć się nie był w stanie, oddalała go z domu bezustannie. Jego zła opinija ścigała za nim z Paryża do Genewy, nie mógł pomyśleć nawet o założeniu banku, a jednakże chęć niepohamowana popychała go do gry.

W tym właśnie czasie, jakiś były wojskowy francuzki, był najbogatszym bankierem faraonowym w Genewie. De Méars poszedł tam z sercem pełnem nienawiści i zazdrości, karmiąc w duszy nadzieję zwyciężkiej walki. Bankier przyjął go wesoło, mówiąc, że nakniec gra nabierze wartości, kiedy pan de Ménars do niej należy.

W istocie kilka pierwszych talji sprzyjało jak zwykle panu de Ménars, ale kiedy ufny w swo-

je szczęście zawelał: *va banque*, od razu przegrał niezmierną summę.

Bankier który zwykle był zimnym jak wżysku tak w przegranej, teraz z oznaką najżywszej radości zgarał złoto p. de Ménars. Od téj chwili fortuna opuściła zupełnie swojego ulubieńca.

Grał co noc, i co noc przegrywał, dopóki nie przepuścił całego majątku, zostawiwszy sobi tylko w papierach dwa tysiące dukatów.

De Ménars cały dzień biegał za zmianą tych papierów i powrócił wieczorem późno do domu. Gdy noc nadeszła, włożywszy do kieszeni ostatki swojego majątku, chciał wyjść, gdy Aniela, wiedząc co się działo, zachodzi mu drogę, rzuca się do jego nóg, oblewa łzami, i zaklina na imię nieba aby ją nie pograżał w rozpacz i nędzę.

De Ménars podniósł ją, przycisnął z boleścią do serca, i rzekł ponurym głosem: Anielo, droga Anielo, nie mogę uleść twojej prośbie. — Ale jutro, jutro wszystkie twoje cierpienia ukoję, bo przysięgam ci na wszystko co jest najświętszego, że dziś będę grał raz ostatni. Bądź spokojną, drogie dziecko; śpij, niech ci sen

przedstawia dać szczęśliwe, życie błogie, to mi szczęście przyniesie!

De Ménars uściskał swoją żonę i spiesznie się oddalił.

Dwie talje, i już de Ménars stracił wszystko co posiadał.

Nieporuszony stał przy bankierze i w lepił osłupiałe oczy w nieszczęsny stół, który pochłonał całe jego mienie.

Panie de Ménars, czy już nie paniterujesz, zawołał bankier mieszając karty nową talję.

Wszystko przegrałem, rzecze de Ménars usiłując okazać się spokojnym.

Nie masz już pan nie więcej? zapytał bankier mieszając ciągle karty.

Jestem żebrakiem, zawołał de Ménars, głosem drżącym z wściekłości, z oczyma ciągle wlepionemi w jedno miejsce, nie zwracając nawet uwagi na to, że wszyscy gracze ciągle wygrywali, mimo to jednak bankier grał jak najspokojniej.

— Ale masz ładną żonkę, rzecze z cicha do pana de Ménars, nie patrząc jednak na niego i taksując karty następnej talji.

Co przez to rozumiesz, zawołał de Ménars z gniewem.

— Dziesięć tysięcy dukatów lub Aniela, rzecze bankier, odwracając się przez pół do p. de Ménars, gdy tym czasem dawał karty do zbierania.

— Jesteś szalonym zawołał de Ménars, który przychodzić zaczął cokolwiek do siebie, i postzegął, że bankier coraz więcej przegrywa.

— Dwadzieścia tysięcy dukatów trzymam przeciw Anieli, rzekł cicho do p. de Ménars, zatrzymując kartę którą chciał przewrócić.

De Ménars milczał, bankier ciągnął dalej, i prawie wszystkie karty sprzyjały poniterom.

— Idzie, rzekł de Ménars do ucha bankierowi, kiedy się zaczęła nowa talja, gdy damę wyświecił.

W następnym ciągu dama przegrała.

De Ménars jakby piorurem, rażony odskoczył od stołu, oparł się o okno żgrzytając zębami; rozpacz i śmierć malowały się w rysach jego twarzy.

Gra skończyła się, bankier przechodząc około p. de Ménars, rzecze do niego tonem wesołym: I cóż!

Czego chcesz? zawołał de Ménars. Przywiodłeś mię do nędzy; ale czyś rozumu stracił, uwieszyć temu abyś mógł wygrać moją żonę. Czyliż jesteśmy w osadach? moja żona jestże niewolnicą, abym ją wydał człowiekowi któremu się podoba grać o nią i cenę za nią naznaczyć? To jednak prawda, że przegrałem 20.000 dukatów i utraciłem prawo, zatrzymania przy sobie mojej żony, jeżeli będzie chciała udać się za tobą. Pójdź ze mną, i oddaj się rozpacz, jeżeli moja żona odepchnie cię z pogardą, nie chcąc zostać twoją kochanką.

— Ty raczej sam rozpaczaj, odpowiedział były wojskowy, jeżeli ciebie odepchnie od siebie, sprawcę swojej niedoli; jeżeli odtrąci cię ze wstrętem, aby z rozkoszą rzucić się w moje objęcia. Ty rozpaczaj, bo dowiedz się, że przysięga miłości nas połączy, że szczęście uwieńczy długie nasze oczekiwanie. Nazywasz mię szalonym! O! pragnąłem wygrać tylko prawo ubiegania się o rękę twojej żony; byłem oddawna pewnym jej serca! Dowiedz się panie de Ménars, że twoja

żona mię kocha, kocha nad wszelkie wyrazy, wiem o tén. Dowiedz się, że jestem Duvernet, wychowany z Anielą i najtliwszą miłością z nią złączony, ten Duvernet którego oddaliłeś twoim podstępem! Niestety! dopiero w chwili zgonu swojego ojca, Aniela poznała co we mnie utraciła! Wiem o wszystkie n. Już było zapóźno. Duch piekiel poddał mi myśl, że gra może mi rastręczyć sposobność zgubienia cię; oddałem się więc grze zupełnie. Ścigałem cię bezustannie, przyjechałem za tobą aż do Genewy i udało mi się! — Teraz idźmy, idźmy do twojej żony.

De Ménars jakby tysiącem piorunów rażony, stał nie wzruszony. Tajemnica tak długo ukrywana, wyszła nakoniec na jaw i teraz dopiero postrzegł całe brzemie nieczczęść, którém obarczył biedną Anielę.

Aniela wyda ostateczny wyrok, rzekł ponurym głosem, idąc za Duvernet, który szybkim krokiem szedł do jego mieszkania.

Przybywszy przed dom, Duvernet porwał za dzwonek, ale de Ménars odepchnął go. Moja żona śpi, chcesz że mięszac jej słodki spoczynek.

Hm! pomruknął Duvernet, czyliż Aniela znała kiedy słodysz spoczynku, od chwili kiedyś ją wtrącił w przepaść niedoli?

To wyrzekłszy, chciał wejść do pokoju, lecz de Ménars rzucił się do jego nóg i w rozpaczy zawołał. — Miej litość, teraz kiedy mię uczyniłeś żebrakiem, zostaw mi przynajmniej moją żonę.

Okrutny! stary Vertua, leżał także u nóg twoich, a nie mógł cię wzruszyć. Niech cię nakoniec zemsta niebios dosięgnie!

To wyrzekłszy, Duvernet znowu chciał wejść do pokoju Anieli.

De Ménars biegnie do drzwi otwiera je; zbliża się do łóżka, na którem spoczywała jego żona, odsuwa firanki i z krzykiem zawoła, Anielo! Anielo! Nachylił się ku niej, wziął jej rękę, a wymówwszy kilka słów niezrozumiale, potem głosem strasznym zawołał: Patrz, wygrałeś trupą moją żonę.

Duvernet przybliżył się pełen trwogi i przerażenia. Żadnego znaku życia; Aniela umarła — umarła.

Duvernety wyduwając jęk bolesny, opuścił na zawsze pokój nieszczęśliwej Anieli—Już od tego czasu nie słyszano o nim mówiących.—

Jak tylko nieznajomy ukończył opowiadanie, powstał z ławki, nim baron, wzruszony cały, zdołał przemówić do niego.

W kilka dni potem, znaleziono cudzoziemca bez duszy w jego pokoju. Umarł wskutek uderzenia apopleksji. Z papierów jego dowiedziano się, że ten człowiek z przybranym nazwiskiem Baudasson, był kawalerem de Ménars.

W tym wypadku baron uznał przestrożę niebios, które muzesłały kawalera de Ménars, dla uratowania go, w chwili kiedy się pogrążał w otchłań, i przyrzekł odtąd opierać się wszystkim zwodniczym ponętom szczęścia w grze.

Aż do dziś dnia, wiernie dotrzymał swojego przyrzeczenia.

CZERWONA

S K A B A. (*)

(Ballada.)

Kędy Alp szczyty wieczna zima bieli,
Promienie słońca odpycha od łona,
Tak, że puchowój niezwilży pościeli,
Kropelka rosy z obłoków spuszczonea,

(*) Rzeka i zamek Rothenfluth w Szwajcarji. Zobacz
Podróże Alex. Dumas po Szwajcarji, Tom I.

Jest wielka skała. Mówią że przed laty,
Był na niej zamek, i można dac wiarę,
Że był obronny, wielki i bogaty,
Bo jeszcze głośnie sterczą mury stare.

Każdy tę skałę mija gdy się kroczy,
Kładzie znak krzyża, słowa nie wyrzeczę,
Gdy na nią spojrzy, wnet odwraca oczy,
Pada omdlały lub z trwogą uciecze.

Bo skała jakby krwią ludzką zboczona,
Wśród lawin śniegu wiecznie się czerwieni,
Nawet król ptaków ucieka z jęj łona,
Naga jak skielec nie ma drzew i cieni.

Przecież przed laty był zamek na skale,
Ludzie w nim żyli. — Ten co go posiadał,
Sąsiednim panom uragał zuchwale,
Jak sam król duchów, tak Alpami władał.

Rudolf go zwano: okrutny i srogi,
Wrzał ogniem zemsty i żarem dzikości,

Niszczył sąsiadów, bluźnił wieczne Bogi,
Nieznał w swój duszy żalu ni litości.

Jednego razu, gdy do zamku wrócił,
Z bogatym łupem i nadobną branką,
Córka hrabiego, — z bratem się pokłócił,
Bo branka była Ulryka kochanką.

Zemstę utaił, ale wrzał nią skrycie.
Powrócił brankę; lecz plany układał,
By ją odzyskać, by odebrać życie,
Własnemu bratu, który ją posiadał.

Więc w północ samą, gdy kochanków dwoje,
Łzami zalanych sen oczy zamroczył,
Rudolf kryjomo wszedł w branki pokoje,
I krew kochanków zdradziecko wytoczył.

Lecz gdy raz zadał; wraz runęły dachy,
Mury się nagle z łoskotem zwały.
Wperzynę poszły pyszne przodków gmachy,
Dziś tworzą tylko trzech osób mogiły.

Od téj to chwili skała krwią oblana,
Krwawym kolorem wśród śniegu jaśnieje,
A chociaż rzeki potokiem oblana,
Zawsze czerwona, nigdy niebieleje.

M. B. Skotnicki.

NDGA UCIEA.

W jesieni 1783 roku, sławny operator, Ludwik Thevenet, w Calais, otrzymał list w którym go zaproszono, aby nazajutrz udał się do wskazanego wiejskiego domku, wzięwszy z sobą narzędzia po-

trzebne do ucięcia nogi. Chociaż ow lekarz często nawet do Anglii był wzywany do podobnych operacji, nie chciał jednak dopełnić żądania, wyrażonego w liście bez podpisu. Na trzeci dzień, otrzymał nowe zaproszenie, z dodaniem, że następnego dnia o godzinie 9 zrana, czekać będzie przed jego domem powóz, który go na naznaczone miejsce przewiezie; i istotnie, za ledwie godzina dziewiąta wybiła, powóz już czekał.

Doktor Thevenet skłonił się nakoniec; wziął narzędzia, i wsiadł w powóz, który szybko odjechał. Napróżno w ciągu drogi usiłował dowiedzieć się czego od woźnicy, niemym on był na wszystkie jego zapytania, i tylko pędził jak najspieszniej. Nakoniec zatrzymali się przed samotnym domkiem wiejskim. Służący otworzył drzwiczki powozu i wprowadził doktora do domku.

-- Kto jest pacjent, mężczyzna czy kobieta? zapytał doktor.

-- Zaraz pan zobaczysz, odpowiedział służący, i otworzył drzwi pokoju w którym znajdował się młody, piękny mężczyzna, który doktora grzecznie temi słowy powitał.

— Cieszy mię bardzo, że pan usłuchałeś prośby mojej. Chciał pan usiąść. Może mogę pa-

nu czém służyć, pierwój nim przystąpisz do operacji.

— Najpierw muszę chorą nogę obejrzyć, może będzie można obejść się bez amputacji.

— Co to, to nie! — Posłuchaj pan, jakkolwiek uda się operacja, oto jest 100 gineów za pańskie trudy, ale chcę abyś mi pan odjął prawą nogę i to niezwłocznie, gdybyś się wzbraniał, jesteś w mojej mocy, — i przysięgam że cię kulką poczęstuje. To mówiąc, dobył z kieszeni pistolet i wymierzył do głowy doktora.

— Dajno pan pokój żartom, rzekł doktor spokojnie, i powiedz mi pan po coś mię wezwał?

— Jużem to panu powiedział, — po to, abyś mi odjął prawą nogę.

— Bardzo chętnie, zdejmę panu nawet czaszkę jeśli tego będzie potrzeba; ale noga pańska zdaje mi się zupełnie zdrówą.

— Nie nie szkodzi! trzeba jednak abyś ją odjął.

— Mój panie, sądze że nie jesteś przy zupełnych zmysłach.

— To pana nie powinno obchodzić.

— Ale mój panie, moja powinność zabrania miucinać zdrową nogę jakby kawałek suche-

go drzewa. Musisz mi pan pierwej wyłożyć dostateczne powody, któreby mię do tak szalonego postępkę skłoniły.

— W téj chwili nie mogę tego uczynić. Za rok, spodziewam się, że będę mógł usprawiedliwić się, i dla tego założę się o co pan zechcesz, że za rok, pochwalisz pan moje postanowienie, które dziś wydaje się panu tak szalonym.

— Jakże maś przyjąć zakład, kiedy nie wiem kto pan jesteś, jak się nazywasz i gdzie cię znajdę za rok,

O tém wszystkiém dowiesz się pan później. Spodziewam się, że mnie pan uważasz za człowieka honoru.

— Mój panie, człowiek honoru nie używa przemocy, aby przymusić doktora do odjęcia mu zdrowej nogi.

— A gdyby ta noga nie była zdrowa,

— Wtedy wypełniłbym moję powinność.

— Dobrze więc! zawołał młodziec, i przedź nim doktor zdolał mu przeszkodzić, przyłożył do swego kolana pistolet i wystrzelił. — Widzisz pan, rzekł, kolano jest strzaskane, wypełnij twą ja powinność.

— Szalony! cóż uczyniłeś?

-- To do czegoś mię przymusił. Nie chciaj powiększać mojej boleści przez dłuższe wahanie się. Przystap do dzieła.

Doktór widział, że ma do czynienia z człowiekiem (uniesionym do najwyższego stopnia; nie było w czém wybierać, odjął mn nogę z wielką zręcznością, dziwiąc się wytrwałości z jaką zniósł tę bolesną operację.

Uzdrowienie szło prędko, i młody człowiek sowicie nagrodziwszy doktora, odjechał z sztuczną drewnianą nogą.

W półtora roku później, doktór Thevenet otrzymał list następujący,

„Kochany doktorze!

Razem z tym listem otrzymasz wexel na 250 gineów, które chciaj przyjąć jako dowód mojej wdzięczności. Odejmując mi nogę, która była jedyną przeszkodą do mojego szczęścia na ziemi, uczyniłeś mię najszczęśliwszym z ludzi; i teraz, mogę ci wyjaśnić, to co dotąd jest dla ciebie zagadką.

Nie długo po powrocie z Indji wschodnich, poznałem miss Emily Haley i zostałem oczarowany jej wdziękami. Znalazłem wzajemność; a

jednak wzbraniała się moja ulubiona oddać mi swoją rękę. Długo nie mogłem wybadać przyczyny tego wzbraniania się; aż nakoniec siostra jej, litując się nad moją rozpaczą, odkryła mi, że Emily przyszła na świat bez jednej nogi, i używa sztucznej drewnianej. Obawa aby to odkrycie nie zmieniło mojej miłości w wstręt, skłania ją do okrutnego postanowienia wzbronienia mi swęj ręki, chociaż mi serce oddała.

Mój plan prędko został ułożony, postanowiłem usunąć rozdziałającą nas przeszkodę i przywrócić równość między nami, co z twoją pomocą kochany doktorze, szczęśliwie się udało. Wróciłem do Londynu z drewnianą nogą, zgłosiwszy poprzednio wieść, że złamawszy nogę przez nieszczęśliwe upadnięcie, zostałem przymuszony dać sobie odjąć nogę; wkrótce potem zostałem najszczęśliwszym mężem Emilji. Nazajutrz po ślubie, odkryłem jej, com uczynił dla pozyskania jej ręki, a jej miłość dla mnie stała się jeszcze czulszą. O, kochany doktorze, gdyby za dziesięć nóg trzeba było kupić podobne mojemu szczęście, nie byłoby ono jeszcze nadto drogie.

Przyjedź do Londynu, zobacz mojego anioła i powiedz jak dawniej, że jestem szalony!

Charles Temple.“

Doktór odpisał na to:

„Szanowny panie!

Dziękuję panu najserdeczniej za jego książkę i podarek; tak bowiem muszę go nazwać w porównaniu z złą usługą jaką panu wyświadczyłem.

Z całego serca winszuję panu szczęścia w związku małżeńskim. Głęboko rzecz biorąc, poświęcenie jednej nogi nie jest za wielkiem poświęceniem, jeżeli przez nie zyskujemy piękną i cnotliwą żonę; bo wiele drożej podobne szczęście okupiło. Pomimo to, muszę pana prosić, abys mi pozwolił pozostać przy pierwszym mojem o nim zdaniu. Nie żebym chciał utrzymywać, że pan teraz nie czujesz się prawdziwie i zupełnie szczęśliwym; — o, nie! — gdyż pan żyjesz teraz w miodowych miesiącach stanu małżeńskiego, i dla usprawiedliwienia mego zdania, potrzeba czasu.

Jeśli moje przeczucia mię nie zwodzą, a chciałbym z całego serca żeby mię zwodziły; tedy nia

dwa lata przeminą, zaczniesz pan uczuwać, że lepiej byłoby, gdyby amputacja miała miejsce po niżej kolana, za trzy lata przekonasz się pan, że posiadanie twojego szczęścia dość drogo byłoby kupioném ofiarą samej tylko stopy, za cztery lata uznasz, że ugrata wielkiego palca u nogi, nadto wielką byłaby, za takie szczęście zapłatą, a za pięć lat żałować będziesz poświęcenia małego palca.

Wszystko to piszę ja nie podając bynajmniej w wątpliwość pięknych przymiotów małżenki pańskiej; w młodości nie byłbym się ani przez chwilę zastanawiał, z oddaniem życia na ofiarę mojej kochance, ale nigdy nogi! — Straty życia, nigdybym potem nie żałował; ale brak nogi, codziennie wznawiałby mój żal. W chwili kiedy musiałem uleść naleganiom pańskim i potrzebie odjęcia panu nienawistnej nogi, mówiłem sobie Thevenet, głupstwo zrobiłeś!

Tak myślałem wtedy, itak teraz myślę.

L. Thevenet.

W roku 1793 Thevenet musiał opuścić Francję i emigrować do Anglii. Przybywszy do Lou-

dynu udał się najprzód do swego dawnego pacjenta Sir Temple. Zastał go w obszerném krześle siedzącego przy kominku, a przed nim leżało mnóstwo gazet.

— Witaj mi, kochany doktorze! zawołał Sir Temple podnosząc się z trudnością. Daruj mi że nie wyszedłem na twoje przyjęcie, ale moja przeklęta drewniana noga nie zawsze chce mi być posłuszną. Zapewne przyszedłeś przekonąć się czy trwam jeszcze w mojem uniesieniu.

— Niestety, inny powód sprowadza mię do Anglii, odpowiedział doktor; musiałem uciekać z mojego kraju, i przychodzę prosić pana o opiekę i pomoc.

Znajdziesz jedno i drugie, kochany doktorze, ale pod warunkiem, że obierzesz mój dom na mieszkanie, bo ty jesteś najmędrszym z mądrych. W téj chwili, byłbym może admirałem gdyby moja przeklęta noga drewniana nie czyniła mię niezdatnym do służby wojskowej. Czytam w gazetach, pochwały wojennych czynów moich redaków, i przeklinam skutki szar-

leństwa, które mi niepozwała dzielić ich chwałę. Pociaszaj, kochany doktorze, opuszczonego, który istotnie potrzebuje pociechy.

— Jakte, czyliż anioł twojego życia, twoja ukochana małżonka, nie zdoła tego lepiej niż ja uczynić?

Mój anioł poszedł, pomimo drewnjany nogi, tańczyć na balu! Nic dziwnego, że żona moja przekłada rozrywki, nad nudne sam nasam zetrycznym mężem.

— Jak uważam, miałem słusność w moim liście.

— Niestety, zupełną słusność! — Codziennie powtarzam moim synom, nie dajcie się skłonić do uczynienia kobiecie ofiary, którejby czas nie zdołał wynagrodzić. Pozwólcie sobie dla przypodobania się płci pięknej, obcinać włosy i paznokcie, jest to strata którą czas wynagrodzi; ale nigdy nie poświęcajcie dla niej ręki ani nogi, choćby to nawet był anioł, taki jak wasza matka.

ŻYCIU**ŚPIEWAKA DUPREZ.**

Każda najdrobniejsza awanturka zawsze mię zajmowała; ale prócz tego, lubię spotkania na ulicy, w oberżach, na gościńcach, w których przy padek przyjmuje na siebie połowę trudów,

i wymaga od nas tylko przytomności umysłu, potrzebnej aby mu dopomóc w usługach, które chce nam wyświadczyć. Mało jest ludzi którzyby nie rzekli kiedy kładąc się w łóżko: „Bylbym dziś posiadał to czego pragnę, gdybym był *tak* postąpił, gdybym był *tak* odpowiedział; dla czegoż nie przyszło mi to na myśl w stosownej chwili.“ Szczęśliwy głupiec, który zawsze jest z siebie zadowolony! Szczęśliwszy jeszcze, kto nigdy nie doświadczył tego niepokonanego pomięszania, tego okropnego ucisku, który cię tłoczy w chwili kiedy masz działać, i zostawia po sobie rozpaczający żal, po straconej sposobności!

Powieść którą zaczynacie czytać, była mi o. powiedziana w pewnym towarzystwie, między dwoma szklankami herbaty. Bohater jej jest moim kolegą w literaturze; powtórzę opowiadanie jego tak jak je słyszałem, to jest jak on mówił:

„Było to około dziesiątej z rana, wszedłem do soplego mego księgarza, który mieszka na przybrzeżu (quai) des Grands Augustins. Był to dla mnie dzień nudów, rozprężenia moralnego, w jakim zwykle czujemy się niezdolnymi do niczego, i puszczaamy się na traf, aby tylko nie po-

trzebać nawet pomyśleć co czynić. Księgarz obecnym był przy pakowaniu dniem pierwój wysłęgo dzieła, którego znaczną ilość wysyłał na prowincję. W magazynie, pierwszy subiekt handlu pisał rachunki, a ja przeglądałem róż- ne nowe dzieła. W oknie wychodzącym na ulicę, ustawione były rozmaite książki, szczególniej z ry- cinami, tak aby przechodzący mogli im się do- brze przyglądać. W chwili gdy się nachyliłem właśnie aby wziąć z tamąd jakąś broszurkę, młoda kobięta która zatrzymała się przed o- knem, odsunęła zaslonę spuszczoną z kapelusza, i zaczęła przeglądać tytuły wystawionych ksią- żek; a wtedy twarz jęj była tak blisko mojęj, że mogłem najdokładniej przyjrzyć się jęj ry- som. Twarz jęj nie była regularnie piękną, ale kształtnie zaokrągloną, oczy duże pokryte były czarnemi rzęsami tak nadzwyczajnie długierai, że nadawały jęj twarzy jakiś wyraz groźby. W jęj czole i połączeniu brwi było coś rozmyślające- go, z nieopisanym urokiem, i co tworzyło szcze- gólną sprzeczność z ustami nieco wypukłemi i ozdobionemi lekkimi fałdkami uśmiechu. Łatwo było rozpoznać w tęj fizjonomji wyraźne znaki dwóch przeciwnych instyktów w kobięcie, sla- bości i wytrwania, ale przystojna postawa i pro-

stota jój ubioru, okazywały, że ten drugi instynkt stał się silniejszym od pierwszego, przez nałóg cnotliwego życia.

Nim skończyłem moje postrzeżenia, młoda dama weszła do sklepu i rzekła do subiekta:

— Proszę pana, co kosztuje ta mała książeczka: *Życie artystyczne śpiewaka Dupreza?*

— Przedajemy ją po 3 franki i pięćdziesiąt centimów.

-- Nie sądziłam że jest tak droga.

— Nie możemy oddać jój taniej. I to jedynie dla tego cena jój jest tak niska u nas, że to jest nasze wydanie, bo w innych sklepach sprzedaje się po cztery franki.

— Nie mogę dać tak wiele.

— Wydanie staranne, papier bardzo piękny i nader trafny portret Dupreza, litografowany przez celującego artystę.

— Nie zaprzeczam, ale nie mogę kupić.

Młoda dama postąpiła już krok ku drzwiom, kiedy stanąłem przed nią.

— Pani, rzekłem, czy nie zechcesz uważać to za niedelikatność, jeśli się odważę zapytać, ile pani zamierzałaś zapłacić za tę książeczkę?

Rzuciła na mnie spojrzenie w którym czytałem podziwienie jakie w niej moja śmiałość obudziła, i obawę żebym nie chciał żartować z jęj oszczędności. Pomięszanie jęj jednak prędko minęło i rzekła:

— Knpiłabym tę książeczkę gdyby nie kosztowała więcj jak trzydzieści lub czterdzieści *sous*.

-- Mogę ją pani oddać za tę cenę.

— Jakto, panie?

— Mam jęj jeden exemplarz, przeczytałem go i już mi nie jest potrzebny; chętnie pozbędę się go za pół ceny. Jeśli pani zgadzasz się na to kupno, zechcesz mi tylko wymienić adress, przyślę pani dziś jeszcze tę książeczkę a pani dasz posłańcowi trzydzieści *sous*.

Figlarny uśmiech ożywił lica młodęj damy, przyjemnie ściągnięte usta, nadawały jęj wyraz złościwości; ale w tęg samej chwili spuściła długie, groźne rzęsy i ujrzałem, że chociaż pogadanka nie sprawiła jęj przykrości, ale nieskończona roztropność wstrzymywała jęj słowa.

— Panie, odpowiedziała, chętnie zgodziłaby się na to kupno, gdybyśmy mogli zkończyć je

tu, natychmiast; ale jeśli trzeba panu powiedzieć imię moje i mieszkanie, dla oszczędzenia trzydziestu *sous*, to nie warto, wolę się wyrzec tej książki.

— To nie zabawi ani pół godziny, pójdę tylko do domu i przyślę ją pani.

— Nie o zwłokę mi idzie, ale o to, że pan zechcesz bezwątpienia sam przynieść mi tę książeczkę, a właśnie na to nie mogę zezwolić.

— Istotnie, pani, miałem zamiar sam zanieść pani tę książkę, bo czułem jakiś pociąg do poznania pani bliżej, i przykro mi bardzo, że pani wzbraniaś mi tego.

W tej chwili wszedł mój księgarz, obróciłem się do niego i mówiłem dalej:

— Pan jesteś naczelnikiem znakomitego zakładu, znanym korzystnie w handlu i jako znawca dzieł i ludzi, chciaj mi być rękojmią mojego charakteru, i przedstaw mię tej pani, tak jak o mnie sądzisz.

— To zupełnie nie jest potrzebném, rzekła młoda kobieta sucho.

Zwróciła się ku drzwiom.

— Przez litość, pani, rzekłem zatrzymując ją prawie. Ponieważ mam się wyrzec przyjemności zapoznania się z panią bliżej, przynajmniej nie odmawiaj mi pani zakończenia sprawy o życie Dupregé, tu i natychmiast; oto jest ta książka, mam ją przy sobie.

I wydobyłem z kieszeni rzeczoną broszurkę.

— Chciój pani zobaczyć, mówiłem, wracając do wesołego tobu, że nie jej, nie brak. Kartki są przecięte, dla tego też odstępuję tak znaczny rabat, jest także mała plamka atramentowa na okładce, ale zawsze książeczka ta warta jeszcze trzydzieści *sous*. Przedaję tanio, dla tego, żebyś pani częściej kupowała u mnie. Te trzydzieści *sous* od pani, przyniosą mi szczęście.

Młoda dana przekonawszy się że nie ma obawiać się dalszych skutków tego spotkania, przyjęła dobrze mój ton żartobliwy. Zdjęła rękawiczkę, wydobyła pieniądze z sakiewki, i nie zdawała się być rozgniewaną że pocałowałem jej paluszki, kiedy mi podawała trzydzieści *sous*.

— Błogosławiona ręka która mię obdarza, rzekłem kładąc w kieszeń kamizelki podane pie

niedze, to będzie amuletem, który nigdy mię już nie opuści.

Młoda dama schowała książkę w woreczek, i ukłoniła się; ujrzałem piękne czarne oczy, kształtną kibić w drzwiach, lekką nóżkę na schodach, potem tylko cień, a potem — nic.

Księgarz zaczął mi coś mówić, ale nie słuchałem go, porwałem kapelusz, i wybiegłem chcąc pójść za śladami młodej damy. Przebiegłszy przybrzeże des Grandz-Augustins, wracałem tą samą drogą i zacząłem szukać mego przedmiotu na przyległych ulicach, ale na próżno. Nakoniec poszedłem do mego mieszkania, zupełnie nie kontent z siebie.

Jeden z moich przyjaciół, wyborny człowiek i jak to mówią w dobrych interessach, mówił mi raz, pokazując młodą przyjemną osóbkę. „Patrzno na tę pannę, — radhym bardzo podobać się jej, i czuję że trudno by mi było oprzeć się miłości; ale w téj chwili nie mam czasu kochać się, mam bowiem sprawę o znaczną summę pieniędzy i muszę pilnować ciągle moich interesów.“ Przypomniał mi się że mu wtedy odpowiedziałem: Gdybym był na twojem miejscu, rzekłbym zupełnie przeciwnie: „Mam ważną sprawę o pieniądze i inne interessa, które wy-

magają mojego dopilnowania, ale jestem zakochany, i nie mam czasu trudnić się sprawami. W tej chwili jednak, wspomniawszy o pięknej twarzy, której właścicielka kupiła ode mnie życie Duprego, zacząłem rozmyślać tak prawie rozsądnie jak ów mój przyjaciel.

-- Nie powinienem, myślałem sobie, kochać się w kobiecie której nie znam, i której nigdy już może nie zobaczę. Nie powinienem gniewać się na cichość i odosobnienie mego gabinetu i moich prac zwyczajnych. Wiem że jeśli wrażenie jakie niezajorna uczyniła na mnie jest silne, jutro, uczuję chęć zobaczenia jej znowu; bo rany miłości są takimi jak te które w boju odbieramy, wielkość ich uczuwamy dopiero nazajutrz. Ale mam rozmaite prace które muszę wykończyć, odwiedziny które powinienem oddać, temu wyświadczyć przysługę, od tamtego żądać innej; istotnie, nie mam czasu myśleć o tej kobiecie. Prócz tego, jakże ją znaleźć wpośród obszernego mrowiska jakim jest Paryż. A wreszcie, gdybym ją po dwóch lub trzech miesiącach znalazł nakoniec, pod jakimże pozorem mógłbym przyjść do jej domu? Nie, to już

postanowione; wymazuję ją zupełnie z pamięci.

Tak rozumując, wyszedłem. Była to godzina widowisk i przechadzek; poszedłem na bulwary, i, dla rozrywki tylko, pilnie przypatrywałem się każdej kobiecej postaci, która była cokolwiek podobną do postaci mojej nieznanym.

— Tamta daleko piękniejsza, mówiłem sobie przy każdej nowej figurze. A jednak, mnóstwo bardzo pięknych kobiet przechodziło koło mnie.

Sądzę, że byłbym wybornym inkwizytem, bo np. ile razy pisał kto do mnie list bezimienny, odgadłem zawsze autora, rozbierając pisanie, papier, pieczętkę, albo znaki pocztowe; dla tego przez prosty instynkt odgadywania wszystkiego co jest zagadką, zacząłem bawić się roztrząsaniem szczegółów rannego spotkania, aby z nich wyciągnąć prawdopodobne objaśnienia i wskazówki, jak mam postąpić aby znaleźć moją nieznaną. Ponieważ kupiła opis życia Duprego, musi więc wysoko cenić jego talent. Muzyka musi być jęj ulubioną rozrywkę, a teatr opery, miejscem gdzie tęj rozrywki szuka. Nie chciała więc jak trzydzieści *sous* zapłacić za życie Duprego, zapewne więc skromne jęj do-

chody, nie wystarczają na łożę pierwszego piętra, znajdę ją najpewniej w amfiteatrze.

W pośród tych rozmyślań, spojrzę na afisz i zobaczyłem że grają *Wilhelma Tella*. Za ledwie kilka minut udygnęło, byłem już w teatrze opery, prowadząc moją lornetkę po całej sali, a szczególnie po mniej drogich miejscach. Po drugim akcie, pewnym będąc, że nie ma w całej sali mojej nieznajomej, wyszedłem, wzywając w siebie, że mi gorąco szkodzi.

— Ponieważ rozpocząłem poszukiwania, trzeba zatem iść dalej. Jest to jedynie interes miłości własnej. Teatr opery nie jest jedynym miejscem gdzie można bawić się muzyką. Wnijście na koncerty publiczne nie kosztuje zbyt wiele; moja młoda nieznajoma musi na nich być.

Miano właśnie grać na jednym z nich symfonię Bethovena; spieszę tam, i nie opuściłem sali, nie przyjrawszy się wszystkim kobietom; przy czém złorzeczyć musiałem okropnej modzie kapeluszy, które nie pozwalają widzieć twarzy z boku.

— Nie mogłem trafiać obwinać o to, że pierwsze moje kroki źle się powiodły, ale nazajutrz mia-

łem już powód uzalania się, usłyszawszy że Duprez wyjechał na cały miesiąc. Im więcej na traślałem przeszkół, tém czułem się bardziej stałym w przedsięwzięciu. W pośród rozmaitych uwag i domysłów, niebezpieczne wspomnienie mojej nieznajomej, wracało ciągle. Widziałem ciągle jej słodkie sporzenie i jej białą rękę. Nadzieja i życzenie wspierały się wzajemnie. Usiłując rozerwać się, przerzuciałem *Tysiąc nocy i jedna*; marzyłem o tych usłużnych jeńszaszach, które opowiadacze wsc hodzi stawiają każdemu na rozkazy, i które przenoszą młode księżniczki uspiione, z jednego końca świata na drugi, z szybkością myśli. Ah cóżbym był nie dał za to, żebym przez jedną chwilę mógł mieć w ręku lampę Aladyna! Niestety! gdyby przynajmniej te trzydzieści *sous*, które od mojej nieznajomej dostałem, były talizmanem! Gdyby dość było potrzebć je, jak cudowny pierścień, aby ujrzcć ukazującą się nieznajomą, z psotnym uśmiechem i długimi rzesami! Nie żadałbym skarbów hojnego Abul-Kasem, ani dziedzietwa Kalifa Haruna, byłbym ją tylko wezwał. Te piękne ezcze marzenia, przekonały mię ostatecznie, że byłem zakochany.

Jednakże po piętnastu dniach bezużytecznych poszukiwań, postanowiłem koniec położyć memu szaleństwu.

— Sposób jest prosty i przyjemny, myślałem sobie, znajdę go w towarzystwie kobiet. Niech sobie moja nieznajoma idzie gdzie ją los powieździe, a mnie wypada pomyśleć o korzystaniu z szczęścia jakie mi przypadek może nasunąć. Trzeba ubrać się w najpiękniejszą suknię i szukać szczęścia w gronach moich znajomych.

Przypomniałem sobie wtedy, że przed owym spotkaniem u księgarza, byłem bardzo zajęty pewną damą bogatą i przyjemną. Hrabina de V... nie była już w pierwszej młodości, przyznawała się bez wachania do lat trzydziestu, obawiając się aby świat więcej jęj nie przyznał. Ale umiała wybornie używać piękności która zaczynała okwitać. Była ona szczerze i otwarcie zalotną, nietościwą dla rywalek i niebezpieczną dla lekkowiernych, obmawiała dobroduszniejakby na chwałę panu Bogu. Zaniedbałem zupełnie powinności człowieka światowego podczas piętnastu dni mego szaleństwa, ale hrabina aż nadto dobrze zwała świat, aby mi za to miała czy-

nić wyrzuty. Wcześniej jeszcze było, kiedy wszedłem do jej salonu i znalazłem ją samą. Położyła na stole książkę którą właśnie czytała i oszczędziła mi wymówek które byłyby mię może zakłopotaly, mówiąc:

— Wieś musi być² teraz przyjemną, musiales się pan dobrze bawić.

— Wieś podoba mi się zawsze, ile razy opuszczę Paryż, odpowiedziałem nie chcąc kłamać.

Więcej niż było wcale mowy o mojej nieobecności przez czas tak długi. Pomimo takiej uprzejmości, nie mogłem oprzeć się jakiemuś nieukontentowaniu i pomieszanu niezwyklemu; miałem wprost naprzeciw mnie dowcipne oczy które mię badały. Rozmowa była cmiłala.

— Cóż to pani czytałas? rzekłem po długim milczeniu.

— Przeglądałam *Życie Duprego*.

Czulem jak moja twarz oblała się rumieńcem wyciągnąłem rękę chcąc wziąć ową księżeczkę; zadrzałem, widząc na okładce znaną plankę atramentową. Szybko otworzyłem książkę. Sądźcie o mojem podziwieniu, kiedy zobaczyłem uwagi które sam zapisywałem ołówkiem na brzegach téj książki! Nie ma wątpliwości, to był ex-

plarz kupiony ode mnie przez piękną nieznajomą. Cużem trafiłem na jej ślady, wtedy kiedy już wyrzekłem się nadziei znalezienia jej: oh, wtém jest widocznie działania przeznaczenia. Czuję, że powinienem zapytać się hrabiny z dyplomatyczną roztropnością, ale byłem pewny, że wzruszenie moje zdradzi mię w pierwszym słowie.

— Kto pani pożyczył tę książkę? rzekłem z gwałtownym biciem serca.

Hrabina spojrzała na mnie z podziwieniem.

— Młoda jedna dama, odpowiedziała.

— Jak się nazywa?

— Jest to bardzo zajmująca malutka, a nie bardzo szczęśliwa.

— Jak się zowie.

— Jest wdową, mąż nie zostawił jej majątku i przymuszona jest utrzymywać się za pomocą swoich talentów.

Nie było sposobu dowiedzenia się nazwiska; zwróciłem się do czego innego.

— Pani ją często widzisz? zapytałem.

— Przeciwnie, bardzo rzadko. Jest ona jak pan, nie co dziką, i nie bywa wcale w świecie.

Wreszcie jęj zatrudnienia i połozenie nie pozwalają jęj tego.

— Czćmże się trudni?

— Daje lekcje śpiewu. Jest to bardzo utalentowana artystka.

— Wiesz pani, że uwielbiam muzykę. Chciałbym usłyszeć głos tęg damy.

— Ona nie śpiewa nigdy, wyjąwszy przy lekcji.

— Nakoniec, ciekawy jestem wiedzieć, czy pani odmówisz mi przyjemności, poznania tęg damy, i czy nie zechcesz mię jęj przedstawić.

— Odmówię może, jeśli ujrzę w tęg niebezpieczeństwo dla nięg. Ale powiedz mi pan jakim sposobem poznałeś tę książkę, nie wiedząc jednak jak się nazywa ta która mi ją pożyczyła.

Bylbym w wielkim kłopotie gdybym chciał wynaleść objaśnienie choć cokolwiek prawdopodobne; wolałem przeto opowiedzieć rzecz tak jak się miała istotnie. Usiłowałem tylko ukryć miłość którą natchnęła mię nieznaną, przypisując jedynie ciekawości chęć zobaczenia jęg znowu; ale hrabina nie dała się uludzić, i

przerwała moje opowiadanie głośno się śmiejąc.

— Nie ma nic lepszego, jak pokazać mężczyznom chęć uniknięcia ich, a natychmiast ścigać nas będą do szaleństwa. Skromność tej małej, wprowadziła pana w to wzburzenie które postrzegam. Wierz mi, zostań przy tém wrażeniu; moja pupilka straciłaby wiele w twojem przekonaniu, gdybyś ją bliżej poznał.

— A to dla czego, pani?

-- Ponieważ niewątpliwie przyzdobiles ją w twojej wyobraźni tysiącem doskonałości, a tymczasem nikt nie jest bez wad. Chceszże pan żebym go jednym słowem wywiodła z błędu?

— To byłoby trudno.

— Słuchaj, powiem ci tylko prawdziwy powód jej niezmiennej odmowy, przyjęcia twoich odwiedzin. Biedna mała, mieszka na okropnej ulicy, w podwórzu zastawioném wozami, na trzecim piętrze, do którego prawie po drabinie wchodzić trzeba.

— Ah, cóż mię obchodzi dom i wschody!

— Jej mieszkanie jest smętne, meble prawie nudne. Musiałaby ci podać krzesło z złamaną

poreczą i zrobiłbyś sobie plamę na kolanie, wyznając jej miłość, przyczém musiałbyś uklęknąć na niefraterowanej posadzce.

— Dalby Bóg, żebym mógł teraz klęknąć przed nią i żeby mię słuchała przychylnie!

— Z tego zachwycającego mieszkania wychodzi tylko na lekcje. Niekiedy jednak, chodzi na amfiteatr opery za 40 *sous*.

— Widać, przerwałem zniecierpliwiony, że nie zasługuje na spojrzenie, kto jak pani niema swojej łoży.

Hrabina głośno rozśmiała się z mego gniewu.

— Ha, widzę, rzekła poważnie, że pan jesteś zakochany w tej damie.

— Tak, pani, kocham ją, nie chcę się z tém tacić, kocham ją, i żarciki pani, nie zdołają przygłuszyć mojej miłości. Nie proszę pani abys mię z nią zapoznana; potrafię ją i bez tego wynaleść.

— Niech mię Bóg broni żebym się mieszała do tej awanturki! Ta osoba jest w wieku w którym może sobą rozrządzać, i jeśli by jej podobało się głupstwo popelnić, obejdzie się

beze mnie. Prócz tego nie będzie potrzebowała mojej opieki, jeśli mam wierzyć zajęciu jakim pana natchnęła.

— Jeślibym był tyle szczęśliwym żebym jej mógł jaką przysługę uczynić uczyniłbym to przynajmniej z delikatnością, nie szydząc z jej szczupłego majątku.

— Otóż i gorycz, widzę mój panie, że nie żartem jesteś zakochany. Aby cię przekonać, że nie chcę przeszkadzać twemu szczęściu, chcę do pełnić objaśnień jakie ci udzieliłam względem tej damy, i zawczasu upewniam, że bez trudności będziesz z nich mógł korzystać. Dowiedz się więc, że twoja piękność jest głową zapaloną, że jedna myśl zdolną jest przewrócić jej mózg zupełnie. Pyszni się ona nadzwyczajną czułością, głębokim zamiłowaniem sztuk pięknych, to usprawiedliwia niektóre wypadki... które ganiłoby kobiecie pospolitej. Byłeś tylko umiał grać na fleciku, albo skrzypić smyczkiem po stronach znajdziesz prostą drogę do tego czulego serca. Mam mocne powody sądzić, że w tej chwili zajęta jest spiewakiem którego życie leży tu na stole. Mówi ciągle o roli Rinalda i drugim akcie *Niemiej*.

— Dziwem jest, przerwałem oburzony, że słowa pani, sprzeczuemi są z tém co pani mówiłaś z początku o tej osobie.

— Widzisz pan, że nie bawię się udręczeniem cię? nie wierz nic moim żartem; przeciwnie, jest to piękność okrutna, którą uczucie jej położenia, czyni nieprzystępną.

— Istotnie, pani bawisz się moją męczarnią.

— Muszę przecież jak bądź wynagrodzić sobie przysługę, którą chcę panu wyświadczyć. Chciój pan być u mnie jutro, o trzeciej po południu; zobaczysz twoją piękność. Przedstawię cię, podam ci sposobność odwiedzenia jej; ale bądź przygotowany na najokropuńsze wysłuchanie, jeśli ci się nie powiedzie.

Odechodząc od hrabiny, byłem miotany nie wiem sam jakimi uczuciami, które obudziły we mnie dziwne i sprzeczne między sobą jej wyrażenia względem mojej nieznajomej. Chociaż upewniła mię, że to były tylko żarty, miłość jest tak trwożną, tak prędko da się ustraszyć, iż z trudnością mogłem się przekonać, że to były zmyślenia. W przypadku gdyby prawdą było, że moja nieznajoma bez trudności uległaby wpływowi

sztuk pięknych, musiałem przyznać, że moje środki ujęcia jej serca, były bardzo ograniczone; ponieważ nigdy nie grałem na żadnym instrumencie i jeśli kiedy śpiewałem, musiałem się śmiać sam z siebie. W krótkce powzięłem pewność, że nie mogę żadnych nadziei pokładać w muzyce, zaczawszy nucić śpiewkę: *O Mathilde! idole do mon ame!* w sposób dowodzący, że nie urodziłem się na śpiewaka.

Noc spędziłem w większej części, na przygotowaniach do jutrzejszego spotkania. Napelniełem głowę mnóstwem wyrażen które na nic mi się przydać nie mogły; hrabina śmiała by się z całego serca, gdyby widziała moje] wzruszenie. Gdy nadeszła oczekiwana godzina, poszedłem ku mieszkaniu hrabiny, wzywając na pomoc całej mojej przytomności umysłu, i czułem w chwili kiedy oznajmiono moje przybycie, że nie byłem bardzo pomieszany.

Moja nieznaną siedziała obok hrabiny, była to ta sama, ona.—Powstała chcąc wyjść, w chwili gdy wszedłem.

-- Zostań na chwilę, rzekła hrabina. Ten pan w porę jeszcze przybywa, aby zabrać znajomość, która bezwątpienia będzie mu nader przyjemną; mówiliśmy o paui talentach, i przyrzekłam mu, że go paui przedstawię.

Hrabina wydekłamowała moje imię, i zwracając się ku mnie, aby ukryć przed nieznajomą ironiczny uśmiech, dodała:

— Donoszę panu z boleścią, że pańi za kilka godzin odjeżdża do wód w Dieppe. Ztamtąd, uda się do swaich krewnych którzy mieszkają w głębi Bretanii; niewiadomo kiedy powróci, jest to prawdziwa strata dla mnie. Uścisknij mi jeszcze moja miła, rzekła do nieznajomej, przyrzecz mi pisać do mnie często.

Uścisnęły się, powiedziały sobie kilka kobiecych zwykłych wyrażen, podczas których niewiedzialem co z sobą zrobić, i potem nieznajoma odeszła, nie spojrzawszy na mnie.

— Nie moja wina, rzekła hrabina do mnie że los żartuje z pana. Spodziewałam się długo bawić tą awanturką, a tymczasem pozostaje już tylko *scena ostatnia* którą spodziewam się, że zechcesz odegrać.

— Jaka scena? zapytałem.

— Piękna scena rozpaczy miłosnej. Nie wyjdiesz ztąd, spodziewam się, nie wydartłszy pierwszej choć kilku garści włosów; ah, patrz, o to stara czarka z porcelany japońskiej, pozwalam ci ją stłuc, jeśli to ulży twoim cierpieniom, ale oszczędzaj morch nowych filiżanek.

— Zobaczymy później, rzekłem, usiłując ukryć nieukontentowanie. Mam jeszcze setne środki. Dieppe nie jest na końcu świata; pojedę dziś jeszcze, może w tym samym powozie co ta dama. Pójdę z nią, ścigać ją będę wszędzie i przekouam panią, że nie ma przeszkody dla człowieka, z silną wolą.

— Bardzo ślicznie; ale pamiętaj, że czekam abys mi pan opowiedział koniec téj historii.“

Tu opowiadający zatrzymał się, aby sobie nalać drugą szklankę herbaty. Po pięciu minutach milczenia, widząc, że zaczyna mówić o nowościach dzisiejszych, przerwałem mu mówiąc:

— Za pozwoleniem, ja także czekam końca téj historii. Nie możesz mię zostawić w najciekawszym miejscu; jeśli koniec jest zwierzeniem się, uczyni je natychmiast.

— Chciałem na tém przestać, odpowiedział, ponieważ koniec nie czyni mi zaszczytu. Zaasz lenistwo, tę okropną namiętność, która nam wynagradza wszystko czego nas pozbawia? Na tym

świecie nie wypełniamy połowy tego, cośmy zamierzali. Zwłóczyłem mój wyjazd od dnia do dnia, i nakoniec nie pojechałem; bałem się żarłoków hrabiny i nie byłem już odtąd u niej.

— Słyszałem jednak, że wyjeżdżałeś w przeszłym miesiącu z Paryża.

— Tak, tylko na polowanie, które trwało parę tygodni.

— A trzydzieści *sous*?

— Kupiłem za nie wczoraj właśnie tuzin sygarów Mam z nich cztery, wypalęmy je.

Przekonany byłem, że mój przyjaciel zataił przedemną koniec téj awanturki. Szukałem go kilkakrotnie w różnych miejscach, gdzie dawniej bywał zwykle, ale nigdzie go nie zastałem. Nakoniec przed trzema dniami, postrzegłem go w łoży parterowej jednego z małych teatrów, sam na sam z kobietą, której rysy zupełnie zdawały mi się zgadzać z opisem twarzy nieznajomej, która od niego kupiła *Źycie Duprego*. Po skończeniu widowiska w wyjściu z teatru, stanąłem za nim i półgłosem zanuciłem piosnkę: *O Mathilde!* etc.

Odwrócił się ku mnie z zmarszczonemi brwiami, ale postrzegłszy mnie, spojrział błagającym wzrokiem. Byłem tyle delikatnym, że nie dokończyłem zwrotki, ale już wiedziałem czego się trzymać.

HISTORJA MIŁOŚCI.

W SZĘŚCIU ROZDZIAŁACH.

ROZDZIAŁ I.

Pan Lebermann.

Przy jednej z szerokich, drzewami wysadzonych ulic Berlina, gdzie ożywiony ruch stolicy nie tyle się daje widzieć, stał przed niejakim czasem mały zielony-dworek, i pomiędzy dwo-

ma nowemi, wysokimi i pięknymi pałacami wyglądał jak niepoczesny, zgarbiony karczulek, obok olbrzymów. Miłosiernie on przechylił nieco na lewą stronę, swoje mchem zielonym porośnięte czoło, a mianowicie facyjatkę; i brzydki ten nalóg był powodem, że nie jeden wolał ów dworek zdaleka obejść, z obawy, iżby przypadkiem drzemiący szczyt nie zwałił się na głowę przechodnia. Jednakże kto z nim bliższą zabrał znajomość, nie obawiał się niczego; od niepamiętnych bowiem czasów, stał on tak spokojnie i urągał bojaźliwym prawnukom swojego budowniczego.

Cała powierzchowność dworku odpowiadała jego szczytowi. Wiązanie dachu było krzywe, koźły nieforemne, niejednostajne i pokrzywione, podmurowanie zapadłe i przegniłe, tynkowanie odrapane. Okienka, małemi zielonemi i nieprzezroczystemi szybkami oszklone, tak nisko dotykały ziemi, że bez wszelkiej trudności, przez nie do środka nie przeleść ale raczej zejść byłoby można. Na wyższym piąterku, albo ich wcale nie było, albo też ledwie ślad onych pozostawał; jedném słowem był to dworek stary, niepoczesny, który przynajmniej o pół wieku siebie samego przetrwał.

Wszelako dziwném zdarzeniem, owa chałupa, mówiąc po prostu językiem pospólstwa, ścigała na siebie spojrzenia ogniste licznej młodzieży która nie zdawała się podzielać mniemania sąsiadów, życzących sobie, aby dworek szpecący całą ulicę, został zniesionym. Już od rana samego przechodziło tamtędy z jakie parę tuzinów próżniaków; trzeba bowiem wiedzieć, że, jak przysłowie niesie, podobnego rodzaju młodzieży w Berlinie, jest jak gęsi w Pomeranii. Po nich następowali pomocnicy rozmaitego kalibru, młodzi kupcykowie, z karmelkowym na twarzy uśmiechem zaglądali przez szybki zielone, zdejmowali z głowy kapelusze, albo wstępowali do sklepu, albowiem w owym dworku był także sklep, o którym niebawem mówić będziemy. Niechże dopiero wybije godzina dwunasta i skończy się wojskowa parada, a wnet zobaczymy cały pułk młodych oficerów, którzy oczywiście nakładają drogi, aby tamtędy koniecznie do koszar wracać. Każdy z nich dochodząc do zielonych szybek, poprawiał sobie czuba na głowie lub wąsiki pokręcił, i dopiero ciekawie zaglądał do drzwi sklepu na wpoł otwartych, z całą układnością i przynileniem, jakich tylko rycerska ich postawa dozwolić mo-

gła. — „Czy widział ś ją? — pytał jeden — Na honor jest dzisiaj zachwycająca! — mówił drugi — czarująca. — zawołał trzeci — boska! — nieporównana! i tak dalej.

Nieco później po paradzie wojskowej, zbierała się chłota elegantów, tak nazwanych, *Fashionables*, którzy po dwóch i trzech trzymając się pod ręce, przechodzili się tam i na powrót, jakby szyldwachy. Ich głosy, a przytém nieco zbyt wolne mowy, oraz uśmiech uszczypliwy, miały niby dowodzić, że należą do wyższego towarzystwa. Lornetowali oni ze wszystkich stron, niekzemny dworek i sklepik, zdejmowali i wkładali po dziesięć razy białe, śnieżne rękawiczki, stukali po bruku trzcinami opatrzonemi złotemi gałkami, poprawiali szaro nakrapiane krawaty, równiali mankietki, dobywali wypufumowane fularowe chustki od nosa, aby sobie niemi zęby wytrzeć, spoglądali na szpilki kosztowne do koszuli przyczypione, i drwinkowali z każdego który miał to pieczęć koło nich przechodzić.

Tym sposobem każdy dzień przechodził; a łaskawy czytelnik zgadł już zapewne, że tych i tym podobnych holdów celem. było młode i nadobne

stworzenie, w owym nędznym dworcynie mieszkające!

Czas też nareszcie zajrzeć do wnętrza dopiero opisaną chatupki. Zupełnie w samym środku owego budynku, były wąskie drzwi wchodowe, których mocne skrzydła, niepospolicie odbijały od stanu zniszczenia całego dworku; były bowiem równie jak okiennice, w stanie jaknajbardziej pszym. Z prawej strony obok tych drzwi, były drugie także tak wąskie jak tamte, należące do sklepu, nad którym znajdowała się stara, na pół zniszczona czasem i stoją tablica, z napisem. *Handel materjałów i korzeni Jana, Gottfrida, Chrystjana Lebermann.* Za otworzeniem szklanych drzwi sklepowych, odzywał się dzwonek poruszony przeciekim żelaznym u tychże drzwi przymocowany, a przewlekły dźwięk jego oznajmiał każde odwiedziny. Po trzech schodkach schodziło się do niewielkiego równolegoboku, w którym sam nawet Corregjo mógłby z pożytkiem zastanawiać się nad urokiem światło-cienia. Potrzeba było kilku minut czasu w dzień jasny, pogodny, azeby oko rozróżnić potrawilo przedmioty otaczające, a wtedy dawał się najprzód widzieć siód sklepowy w kącie prostym dwoma

ramionami rozchodzący się, na którym stały, lub też o niego oparte były, faski z masłem i śledziami, beczutki z szarą mydłem i barylki z wodką; a to w taki sposób, że ledwo zostawało miejsca na dwie lub trzy osoby, któreby mogły przystąpić do stołu. Zwykle z za tego stołu, a mianowicie z lewego kąta, wychylała się długa i wychudła postać pana Jana Gutliba Chrystjana Lebermann, który ciągle był zajęty, albo odważaniem cukru, krainku i anyżu, albo robieniem pakiecików na kawę i pieprz. Nosił on stary mocno, przechodzony zielony, bajowy surdut, z wielkimi świecącymi się i gładkimi plamami na rękawach i klapach, co zład pochodziło, że p. Lebermann miał ten brzydki nałóg, iż często bardzo obcierał palce o klapy, ile razy przyszło mu ser krajać, śledzia wziąć w rękę, lub też ważyć syrop. Cera owój długiej i chudój postaci, była tak blade żółta i wyschła, że przypominała ową mumję z czasów Sezostrysa, znajdującą się w Berlińskim gabinecie starożytności egipskich, która kiedyś, jak to szczęśliwie odkrył Champollion, należała do córki kapłanki Izy. Ta jednakże jeszcze korzyść panu Lebermannu przypadała, iż

twarz jego okryta była niezliczonemi a dużemi bliznami po ospie, które przedstawiały; zazdrości godne naprzemian pagórki i doliny i zupełnie prawie zasłaniały jego lewe oko; gdy tymczasem prawe z ukosa migalo, co niewłaściwie nazwano fałszywym wzrokiem, albowiem. odnosił 'on z tego nieocenioną korzyść, iż nikt nie mógł wiedzieć w którą stronę istotnie spogląda, czyli twarz jego była obroczą na prost, na prawą lub na lewą stronę. W tej twarzy spoczywało prócz tego najszcześniejsze zjednoczenie czterech różnorodnych własności, to jest byleny, osła, lisa i owcy. Ubodliwe spojrzenia jego oka pokrzywionego i minaszycerza która szkaradnie szpeciła jego i tak nadto szerokie usta, przypominały owe drapieżne zwierzę; nadzwyczajnie długie odstające uszy, przywodziły na myśl cierpliwego dzwigacza worów z mąką; przebiegłe skupianie gęstych brwi, zadzieranie długiego kończącego nosa, i szczególniejszy sposób fałdowania czoła i wyglądzenia onego, ile razy z uwagą słuchał, namyslał się, lub liczył, oraz właściwy jemu sposób podnoszenia do góry głowy i spuszczenia zaraz na pierci, czyniły go podobnym do lisa; nakoniec zwieszona gruba, dolna szczęka i szerokie wargi kazały go przyrównywać do wzoru niewinności i łagodności, to jest: do owcy.

Uspodobienie wewnętrzne pana Lebermann, nie różniło się wcale od jego powierzchowności; dla wierzycieli, a osobliwie żydów, był ljeną, jeżeli wypadło dla zyskania pięniędzy, ustroić się stoicką obojętnością na wszelkie obelgi i zniewagi był osłem; w rzeczach handlowych lisem, a w sztuce uchodzenia przed niedoświadczonemi za stworzenie dobre, łagodne, prawdziwą owcą.

Ztąd także pochodziło, że zdania o tym jego mości były bardzo rozmaite. Raz nazywano go zakamieniałym skąpcem, rzeźmieszkiem, lichwiarzem, szeszwanym lisem, drugi raz, pospolitą duszą bandycę, naturą żydowską; inai mieli go za przebiegłego matacza, za ezłowieka bez czci i wiary; a byli i tacy, którzy utrzymywali że pan Lebermann, jest poczciwy, miły staruszek, uczciwy dobrośliwy i rzetelny.

Ci którzy kupowali w sklepiku Lebermanna, doznawali od niego grzeczności, każdy, byleby u niego kupił pieprzu za trzy grosze, mógł być pewnym, że otrzyma w dodatku jaką śmieszna lub dowcipną dykteryjkę, wyrzeczoną urywkowemi słowami; inaczéj bowiem Lebermann nigdy nie miał zwyczaju mówić. — Jego płacziwa fizjonomja, stawała się zawsze ponurą, kiedy od

niego pieniędzy żądano, i ażeby uniknąć tak drażliwego dlań wypadku, zwykł był każdemu, na którego miał podobnego rodzaju podejrzenie, mawiać o swoim ubóstwie, które mu nie pozwalało pomyśleć nie tylko o spokojnej starości, ale nawet o najmniejszej uprawie dworku, który już groził zawaleniem. Wprawdzie mało było takich coby uwierzyli tym przesadzonym skargom, a między temi byli i tacy, którzy wiedzieli, że stęskający starzec posiada znaczne kapitały które umieszczał na dobrach ziemskich lub w postronnych miastach. Żeby zaś i z tem się lepiej utać, nigdy sam osobiście podobnych spekulacji handlowych nie przedsiębrał, tylko za pomocą pewnego żydka faktora. W głębokiej szufladzie starego kantorka, chował on porządną porcję rewersów i innych dobrych papierów, razem z niezłą kupką frydrychsdorów i oberżniętych dukatów, ażeby niemi kiedy niekiedy, dobrze zarekomentowanej osobie — rozumie się na pewną rękojmię i mały procencik 50 od sta — po ludzku i po chrześcijańsku, w gwałtownej potrzebie dopomódz.

Któżby uwierzył, że ten stary, nieużyty i zimny skąpiec, miał córeczkę piękną, dobrą i ła-

godną, która pod tym względem wytrzymałaby porównanie z tysiącami piękności Berlina, i która do swojego ojca tak była podobna jak kolibry z Jamajki do białego niedźwiedzia polarnego.

Często się zdarza, że dzieci nie miewają podobieństwa do swoich rodziców, jakoż cnotliwa małżonka pana Lebermann, jeżeli zawierzyć mamy nie kłamliwym rocznikom, nie należała bynajmniej do cudów piękności. Pan Bóg raczy wiedzieć, jak się to stało, że jedyzny owoc tego dobranego związku, posiadał wielkie, czarujące, niebieskie oko, delikatną i białą pleć, małeńkie rokoszne usteczka, miłutko utoczony nosek, puchowe ciemne kędziory, i wysoką wysmukłą postać. Być może, że opatrność chciała tu nadgrodzić to czego odmówiła całemu pokoleniu Lebermannów, i nagromadziła na ostatni szczepek, wszystkie wdzięki, jakie kiedy jego przodkowie, począwszy od Adama, czasem pojedynczo posiadali. Rozyna nie była prawdę mówiąc, poetyką pięknością; jój wdzięki nie miały nic nadludzkiego, nadziemskiego, czego poeci wymagają, to jest: eteryczna bładość światła księżycowego lub atomu świata urojonego, która dziś tak jest modną, tak interessującą nie przebijała

się na wążutkach jój usteczkach, niebyła też taką doskonałą pięknnością, jakiejby malarze żądać mogli na wzór pętaosci kibici, świeżosci li-
ca i świetności zębów. Jój pięknność trzymała
środek pomiędzy umysłowością i zmysłowością, a
nadobna twarzyćka, nosiła mały cień lekkiego
utrąpienia, który się przebijał w żywych jój oczach
i rokosznych deteczkach policzkowych.

Nie można było nikomu brać za złe, jeżeli
z przyjemnością lubił spojrzeć na tę nadobną
twarzyćkę, a ponieważ Rozyneczka często do
sklepu przychodziła, aby dopomagać ojcu, zwa-
szcza kiedy było nieco więcej kupujących, nie
więc dziwnego, że ci ostatni co raz większej li-
czbie i częściej przychodzili kupować. Co mo-
ment nadszedł jaki młodzieniec żądając laku lub
coś podobnego, i chętnie wtenczas radby przy
tęj sposobności zawiązać słodką gawędkę z pię-
kną kupcówną, gdyby nie stary niedźwiedź który
znajdował się wiecznie przy jój boku, i na każ-
de zapytanie odpowiadał. Przeklinając w duszy
starego, odchodzili wielbiciele z niczém, aby
miejsce zrobić nowym przybyszom, którym się
także nielepiej udawało, a pan Lebermann wy-
szczywał za niemi zęby, chował piękne grosik

do kassy, zacierał wychudłe ręce, pogłaskał córeczkę pod brodę, uszczypnął w uszko, z dziwacznym uśmiechem nanią spoglądał, odzywając się od czasu do czasu: „Dobrze, Rozyno, bardzo ładnie, czoło białe jak puder, — włosy gładkie jak oliwa, — łeczki za uszami, — to dobrze, to dobrze; — Młode wiercipięty, ha, ha, ha! zawsze mi tak robić, moje dziecię — gawronią się na ciebie, jak na lalkę woskową na jaśelkach, ale osły, głupcy, Rozyno, mają łoki przepiękane, pod nimi nic — nowe tuzurki, na 5 talarów łokieć, a w kieszeni puski — nic! — próżniaki, nie ma na co zachować. — Znoszą tu pieniążki, to dobrze, niechaj patrzą na ciebie, patrzenie nic nie szkodzi, nieurzekną cię — ale zleżałych towarów nie kupujemy, — to interes — i koniec.“

— Bardzo mi jest nieznośnie, mój ojczu, że panowie tak mi się przypatrują, rzecze Rozyna jakby w gniewie, nawet chcą mi rękę uściśnąć.

— Prypatr: ują? ręce ściskają? — hm, i cóż ztąd! jabłuszka — rumiane policzki, — łakotki — to pochodzi od Ewy: wszystkim głowy zawróciła, ha, ha, ha, i koniec.

Wszelako pan Lebermana był odtąd uważniejszy na to przypatrywanie się i ściskanie rączki, i razu pewnego, kiedy jeden z owych młodych ludzi z przypiekanemi loczkami, starał się wsunąć Rozyace w rękę bilecik, w którym jój wieczną miłość przysięgał, podchwycił go, spojrział straszliwym sposobem na kopertę, to znów na winowajcę i zawolał: Bilecik—papier pocztowy drogi—arkusz srebrny grosz — marnotrawstwo, lepiej komorne zaptacić, biédnego krawca zaspokoić, szewca, ha, ha, ha, nie ma dla asana tabaki, oto drzwi ha, ha, ha, i koniec.

Wysoka groźna postawa, i pięść ścinięta, bardzo były ważnemi argumentami dla młodego modnisią do spiesz nego odwrotu; jednakże wyjąknął kilka niezrozumiałych wyrazów o uszanowaniu, piękności, uczuciach, stałości, namiętności i t. d. lecz jak tylko ręka pana Lebermana pochwyliła kopystkę od szarego mydła, zrobił śmiałe Salto-mortale do drzwi, potknął się na trzech schodach, i jakto mówią, na czworakach wy dostał się na ulicę. Rozyna pokładając się na sárzynie od pomarańcz, tak się nierozważnie głośno śmiała, że rozgniewany jój ojciec do niej zwrócił cały potok odgrózek:

— Śmiechy, dzieciństwo, wyszczerzać zęby jak kot morski, — precz do izby, — pończocha w rękę, ha, ha, ha, — bibliję czytać sobie, modlić się, — koniec.

Rozyneczka oddaliła się skwapliwie, ale pan Lebermann zasiadłszy do tłuczonego pieprzu, który właśnie w trzygroszowe pakieciki zawijał, zamyslił się głęboko, a poruszając często palcami małki pieprzu, wkrótce napelnił sobie nos i usta gryzącym pyłkiem, tak że niejednokrotnie musiał ocierać łzami zasze oko swoje. Głębokie to zamyslenie tak dalece go ogarnęło, że nawet zapomniał domięszać do pieprzu, tłuczoną buleczkę, umyślnie na to przygotowaną, czego wszakże dla dobra kupujących nigdy nie zaniedbywał; albowiem stale był przekonany, że pieprz tłuczony, bez przymieszania tartej bułeczki, zawsze jest szkodliwy dla zdrowia. — Pan Lebermann kochał pieniądze z namiętnością, kochał też i swoją córkę, a potem wszystkiem co widział, słyszał i uczył, nie mógł w swojej głowie znaleźć rady jak mu dalej postąpić wypadło. Jeżeli Rozyna nie pokaże się w sklepie, przeczuwał że najdalej za dwa tygodnie, nikt u

niego więcéj kupować nie będzie, a tém samém bezpowrotnie stracić będzie musiał cały zarobek, jaki mu oglądanie wdzięków Rozy ny do tychczas nastęrczało. Jeżeli zaś zostawi rzeczy *in statu quo*, natenézas niebezpieczeństwo było grożące, bo niepodobna, aby mu się udało przejąć wszystkie miłosne bileciki, tak zręcznie jak tym razem, a nawet i sama Rozy na mogłaby podobnemu oświadczeniu wskazać drogę swego serduszka, a myśl ta była dla pana Lebermann nadzwyczajnie trapiącą.

-- Dziewczy na, garnków pilnować i kuchni — mrucał pod nosem -- dziewczyna, kłopot — wolalbym chłopca — Ha, co robić stary Lebermanie? -- Przekłéty pieprz — pełno w gębie — język suchy; -- zestarzałam się -- niemogę już pracować — wolalbym chłopca — miałbym pomocnika. — W tém miejscu zamyslił się chwilę, a potém szybko się zerwał ze stolka wołając: „Pomocnika! na moją duszę, jestem opiekunem; — musje Karol — ubogi — sierota — wychowałem go — powinien być wdzięczny; — trochę za wysoko patrzy — uczył się buchalterji — to nie — nie ma kawałka chleba — trzeba mu dopomódz — jestem jego opiekunem — ha, ha, iha, ładny chłopak — spodoba się dziewczętom

a jak te zacząą przychodzić, to dobrze pójdzie — i koniec.

Takie swojemu monologowi dał p. Lebermann zakończenie, z tém nie odwołaniem postanowieniem; że do swego domu przyjmie swojego pupilla. Było to jedyne dziecko pewnego radcy miejskiego, człowieka zacnego i poważanego, który w niejednej ciężkiej przygodzie umiał sobie zjednać szacunek współ - obywateli. Umarł on w biédnym stanie, oddawszy wprzód jedyne go swego syna do pewnego znakomitego domu handlowego. Pan Lebermann jako daleki krewny, ustanowionym został opiekunem, a ponieważ zawsze żywił w sobie demokratyczną nienawiść przeciwko buchalterji i ciągle utrzymywał że tylko dobry detalista (jak mówił merkantyliznym językiem, co właściwie znaczy kupca cząstkowego) może zostać dzielnym kupcem, przeto chciał natychmiast młodego Karola Werner przenieść z kantoru buchalteryjnego za stoł jakiego handlu win, materiałów i farb malarskich. Wszelako Karol nie czuł do tego żadnego powołania, a biédna matka, poruszona rzewnemi łzami syna, postanowiła ponieść wszelkie ze swojej strony ofiary, aby utrzymywać syna przez czas jego nauki. Pan Lebermann obar-

czony ze wszystkich stron naleganiar*ni*, musiał odstąpić swego zamiaru, ale zniecierzył sobie młodego arystokratycznego kandydata kupiectwa. Matka i siostra pracowały z wysileniem, szyły, haftowały, dziergały, aby mogły opędzić kosztu nauki Karola, i szczęśliwie, acz z mozolem, dokonały tego.

Właśnie w owęj porze dotknęło młodego komisarza nieszczęście.

W kilka miesięcy ledwie po swojém wyzwoleniu, kiedy Karol układał i przemyślał nad t*em*, co ma zrobić z 500 talarami dan*ej* mu roczn*ej* pensji, kilka bankructw postronnych, pociągnęło za sobą upadek domu handlowego, w którym zostawał. Podziękowano mu za służbę; a tak został bez pieniędzy, bez chleba, i bez żadnych widoków umieszczenia się gdzieindziej w prędkim czasie. W smutku pogrążony, siedział sobie w małej izdebce, patrząc na czerwono zasze od płaczu oczy, matki i siostry, a widok ten rozogniał i lodowacił na przemian jego serce.

Kiedy tak przyciśnięta była cała rodzina smutkiem i niedostatkiem, otworzyły się, po lekkim zapukaniu drzwi, i weszła stara służąca pana Lebermann, z pozdrowieniem od pana i życze-

niem, aby pan Karól Werner chciał się do niego pofatygować.

— Wielki Boże! zawoła matka, czyliżby starzy ten i nieużyty człowiek, przed którym użalałam się onegdaj bezskutecznie na naszą nędzę, miał wejść w siebie i chciał nas poratować!

— Poratować? przerwie Karól, czemuż nas poratuje, kochana matko, pieniędzy nam; pewnie nie pożyczę, a-tem miłej da; prócz tego nie chciałbym od niego ani jednego ani drugiego. Miejsca dla mnie także w ystarać się nie może, gdyż od dawnego czasu siedzi wkącie jak kret w jamie. Wolalbym żeby mi dał pokój, i tyle się o mnie troszczył, ile to dotąd czynił.

— Wypadalo jednakowoż, rzecze matka, żebyś od czasu do czasu odwiedzał go; jest to człowiek w wieku, ma doświadczenie, jest bogaty, prawda trochę dziwaczny, ale wreszcie jest woim krewnym i opiekunem.

— Ale Rozynka wyrosła i wyladniała, doda siostra figlarnie. Za jej wdziękami nie jeden młodzik nogi sobie wybiegał.

— Mniejsza z tém, pomruknał Karol, wdiewając na siebie tużurek.

— Czy dawno jój nie widziałeś? zapyta tamta.

— Już dawno, może, ze dwa lata, ale ją teraz zobaczę, bo widzę, że trzeba koniecznie pójść, odpowiedział z westchnieniem.

Bądź z nim grzeczny, mój synu, mów z nią łagodnie, a on nas nie opuści.

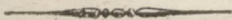
— A zawiąże sobie lepiej chustkę na szyi, zawołała siostra przytrzymując go. Porządnie, na dwie kokardy,... rękawiczkę włóż na prawą rękę; co to za przyzwyczajenie niedobre....

— Niechże kapelusz leży prosto na głowie, mój synu, bo pan Lebermann nie lubi kiedy go kto na bakier nosi, i powiada, że to próżność, lekkomyślność oznacza. ..

— Obciągnij braciszku kamizelkę, stój, coś ci z za kołnierza wygląda, wyszczotkój plamę na rękawie; ah! co tu kurzu, jakiś nieporządny, nie... czekajże!...

Ale Karól już był na schodach, i w kilku susach zeszedł z pięciu piąter, kiedy siostra jego wychyliwszy się z okna swojej izdebki jeszcze do niego na ulicę wołała: Karolu, zapomniałeś mackietków. Ale on nic nie słyszał; z ponurym

wzrokiem i jeszcze pęsniejszemi, myślami przechodził kręte ulice, i w pół godziny doszedł do odległego przedmieścia, na którém mały zielony dworek pana Lebermann, urzągał czasowi.



ROZDZIAŁ DRUGI.

Musje Karol.

— Wyrosł, pięknie okrągło wygląda, jak brzoskwinia, Musje Karol, mówił pan Lebermann chrapliwie, wprowadziwszy młodego człowieka do swej ciasnej izdebki, i zasiadłszy sam w sta-

rym fatersztulu, przepotniałą starą skórą obciążonym i żółtymi czwiczkami na około obitym. Rumiane policzki, ah, to zdrowie. czerstwość, ciemne włosy, wysokie czoło, wielkie oko, i ojciec był taki sam, podobnyś do ojca jak jajko, musyje Karol.

— Dla tego zapewne, przerwie młodzieniec, podobny jemu los i mnie czeka.

— Eh co tam! zawoła Lebermann, ojciec był głowa zapalona, chciał żeby wszystko szło po jego myśli, sprzeczał się ze wszystkimi, nie znał świata... i koniec.

-- Mój ojciec był rzetelny, odpowie Karol z godnością.

— Tak, to prawda, ale nie znał tego przysłowia: żyć i dać żyć, nie potrafił milczeć, a przelożonych obrażał... i koniec.

— Panie Lebermann. kazałeś mię pan do siebie zawołać, przerwie Karol z przyciskiem.

— Prawda, odpowie stary, — nie masz chleba; matka w nędzy -- siostra musi szyc — źle, źle wiem o wszystkim, nie ma co jeść, — co z tego będzie... he?

— Będę się starał, wyszukać sobie przyzwoite utrzymanie, rzecze Karol, a krew wystąpiła mu aż po same białka oczów.

— Nic warto, powie spokojnie i z flegmą Lebermann, próżna nadzieja, wśród lata, niz spadają kondycje, jak orzechy z drzewa, musje Karol. — Młody człowiek, nie słuchał... kantor, tak, życie próżniackie; gryść piórka, wieczorem spaceru, teatru, koncerta, to ładnie, pięknie, wierzę temu, ale teraz siedziemy na bruku. — Żebyś został detalistą, miałbyś dziś chleb, nie potrzebowałbyś siedzieć matce i siostrze na karku, i głód cierpieć... i koniec.

— Czy mogę się zapytać, po co mnie pan ka-
załeś do siebie wolać? wyjąknął młodzieniec trzę-
sąc się od gniewu.

— Propozycja, rzecze Lebermann, — potrze-
buję czeladnika, jestem stary, spróbuję, może się
uda, sześćdziesiąt talarów na rok, pranie i wszelka
wygoda, a na Boże narodzenie kolenda.

— Mnie pan chciałeś przyjąć? zapytał Karol
zdużniony.

— Mam miłosierdzie, jestem stryjem, opieku-
nem, mówił dalej Lebermann, biorąc porządną
szczyptę tabaki, spróbuję, chcę dopomódz, dou-
czyć; oto Rozyna, moja córka, dwa razy lepsza

ak czeladnik, ale mam moje przyczyny, nie chcę jej pomocy... i koniec.

Rozyna, która przez cały ten czas spokojnie siedziała przy okienku, odiożyła teraz na bok swoje szczie, powstała i zbliżyła się do młodzieńca, który w uniesieniu gniewu staczał w swoich piersiach ciężkie walki.

— Wołałeś mnie, kochany ojczek? zapyta słodkim i wdzięcznym głosikiem, spoglądając miłośniernie na wrzącego kuzyna.

— Nie, nie, odpowie Lebermann, ale masz, oto twój kuzyn; chce go przyjąć za czeladnika; szosćdziesiąt talarów; miałby dobrze, jak własne dziecko, ale nie przyjmuje... i koniec.

— Czy pan doprawdy nie chcesz przyjąć propozycji mojego ojca, panie Werner? rzecze Rozyna z uśmiechem.

Karol! spojrział na nią, oczy ich spotkały się, najzdradliwszy z bożków siedział w niebieskiem ognistém oku dziewczyny, i nagle wypuścił strzałę, która ugodziła w gwałtownie bijące serce. Żywy ogień wystąpił na lica Rozyny, a niechęć i gniew Karola, zamienił na łagodność powolność i jakąś żądzę.

— Obawiam się, rzecz zatem z zająknięciem, nieśmiało, czyli będę umiał odpowiedzieć oczekiwaniom pana, jeżeli nie zechcesz być cierpliwym...

— Zechcę, zapewne, przersie Lebermann, brawo, daj rękę, tak — zgoda, — od jutra obejmiesz kondycję — dziś piętnasty — co do pensji, dobry porachunek, za sześć tygodni połowa zarobiona — i koniec.

Tym sposobem, sam nie wiedząc jak, młody Werner skoczył nagle, z najwyższego szczybla urojeń i marzeń, do małego nikczemnego kramu, którym przed chwilą, pomimo przykrego swego położenia, niewymownie pogardzał, i loszrządził, że w brudnym tym i ciasnym zakątku, upatrzył dla siebie pobyt rokoszy, w którym spodziewał się wstępować po drabince niebieskiej, o jakiej się Patrjarsze Jakóbowi śniło.

Nazajutrz zaraz z rana, sprowadził się z całym swoim zawiniątkiem, do pana Lebermann, który pokazawszy mu w przody na poddaszu przeznaczoną dla niego izdebkę, bez pieca, z polluczonymi oknami, i ścianami obdrapanemi aż do trzciny, w której oprócz starego sosnowego stołu, i trzynożnego stolka, nic więcej nie było, spra-

wadził go na dół do sklepiku, gdzie miał wzięść pierwszą lekcję zostania kupcem praktycznym.

Lebermana przypatrywał mu się z grymasami swojemi nałogowemi, od stóp do głów, bawiąc się z skazówką równowagi szalek.—Porządny surdut, rzecz, dobry, ale do kościoła, na niedzielę;—tutaj szkoda—biały halsztuch, kołnierzyk—to błazeństwo—błyszczące bóty, malpiarstwo.—Pantofle, i to stare — oszczędność, to jest pierwszą zasadą detalisty.—Mocny fartuch z łańcuszkiem, dobrze spiąć — to porządnie — i koniec.

Karol żałował, że nie miał gorszego ubioru, pantofli, pstrych chustek i t. p. obiecywał jednak postarać się o fartuch.

— Rozyńka kupi i uszyje — niebieski jak papier na cukrze, to stary zwyczaj. Chcesz porządne suknie nosić, musje Karol, mając to, dobrze, — gładko, opięto, czysto, — dziewczęta to lubią. Jesteś niczego, możesz się spodobać, he, he, he, tylko łagodność, troszkę udawaj zakochanego, słodkie przemawiania, troszkę podrażnić się, — to bardzo dopomaga odbytowi; czasem złapać za szyję, osobliwie kiedy da wiele utargować, to pomaga....i koniec.

Rozyńka stała na progu we drzwiach, gdy tak jęj ojciec prawil swojemu uczniowi morały, a kiedy była mowa o kupieniu fartucha, skinęła milutko główką patrząc na Karola, przepisy jednak co do słodkich słówek, drażnienia i uściskania za szyję, niebardzo jęj się podobaly, i żadnym sposobem nie mogła ich pochwałać. Dla tego spojrzala na uśmiechającego się z pomieszanem kuzynka, wzrokiem, który wyraźnie przemawiał: „Pewna jestem, że się nie dopuścisz podobnego grzechu,“ stanęła cała w płomieniach i szybko uciekła do swojej izdebki.

W kilka godzin dopiero pokazała się przynosząc śniadanie, składające się z dwóch długich, ciężkich, nadzwyczajnie skąpo masłem nasmarowanych kawałków chleba, i kładąc one na stole sklepowym za przegródką, poprosiła pięknego czeladnika, który właśnie tłukł w miedzianym młynie cyzamon, ażeby tłuczek na bok odłożył; i dodała z cicha życzenia dobrego apatyty. Ale oczy jęj, które szybko przebiegły po kromkach chleba a potem się na ojca zwróciły, mówiły, że to nie ona częstuje go tak mizernem śniadaniem.

— Dobrze Rozyńeczko, zawoła Lebermann, żując pracowicie część swojego śniadania;

chleb z masłem przewyborny—stare masło lepsze—młode psuje żołądek,—mało masła najlepiej—tłusto to niegodziwie, niezdrowo—zółta-czka a potem śmierć.“—Wtém zobaczył, że młody jego czeladnik soli sobie chleb, albowiem trzeba wiedzieć, że w domu Lebermanna, nie używano innego masła, jak tylko tego, które do klepek faski przylegało, a które jako niesmaczne nie mogło być korzystnie sprzedane; przeto na smak rachować tu nie można, a nawet ponieważ, nader cienkie smarowanie, nazwałoby można dobrodziejstwem.

— A! lubisz sól,—lepiej, i lepiej masje Karol, posól sobie, nie dostaniesz nigdy suchot, — rumiane policzki, zdrow jak ryba, he, he, he,— Na jutro, Rozynko, nie potrzeba masła—posolisz chleb, rozumiesz?—i koniec.

Niezmiernie z początku bawiły Karola, te i tym podobne uwagi harpagońskie Lebermanna. Myśl, że staremu skąpcowi zdawało się jeszcze zbytkiem, smarowanie niesmacz. em masłem z nie opisaną oszczędnością, i że przez sknerstwo wolał się sam bez niego obejść, wycisnęła z niego głośny śmiech. Spojrzał na Rozynę, która smutno zwiesiwszy główkę, opuściła z pomiędzy pal-

cy lezkę, leez nawet i to nie mogło pokonać jego wesołości.

— Śmieć się, śmieć porządnie, tego—rzecze chrapliwie Lebermann, to bardzo dobrze—ja to lubię; radość w domu, dobry znak dla tych co przychodzą kupować. Śmiech, porusza ciało, orzeźwiaoje, smutek, djabła wart, człek chudnie, he, he, he, smutny a głodny to jedno, chociaż je jak wilk. Serce wesołe jest pękate jak skrzynia, a je mało...i koniec.

Ostatnia ta uwaga wydobyla z duszy młodzieńca śmiech niepomiarowany, który również i Rozynę ogarnął, tak że oboje za boki się ująć musieli. Ba, nawet sam Lebermann nie wiedząc z czego, chyba, że dla umiędźszenia apetytu, śmiał się także serdecznie, i jak sam później przyznał, nigdy jak zapamiętać może, w starym dworku, tak mocno i tak długo, nie śmiano się z niczego i dla niczego.

Pierwszy dzień przeszedł młodemu czeladnikowi wesoło. Skromny obiadek i wieczerza, była dla niego ukraszona obecnością Rozyny, która naprzeciwko niego siadała, z nim szwargotała i wzrokiem i mową zdawała się zachęcać do

odważnego wytrwania w położeniu jakie na siebie przyjął. — Następnego dnia, Lebermann zaczął go obznajmiać z tajemnicami swojego stanu. Zaprowadził go do piwnicy, i tam nauczył, jak należy syrop cukrowy zaprawiać wodą i syropem kartoflowym, następnie pokazał jak się powinien obchodzić z szalkami, i jak w stosownej porze i miejscu naciskać małym palcem; potem kazał mu rąbać i odważać cukier lodowaty, przy czém obszernie mu tłómaczył, dla czego na każdym półfuncie, odpadać powinien jeden lut na papier. Tym sposobem stopniami deświadczoney weteran prowadził swojego ucznia, tak że ten ostatni który całej usilności dokładał, aby pozyskać pochwałę swojego pryncypała, w pierwszym zaraz tygodniu, dokładnie już był obznajmiony z całą manipulacją Lebermanna i bardzo zręcznie mógł kupującym usłużyć.

Młody i przystojny Karol, z ujmującą postacią, silną budową ciała, ciemnymi gęstymi włosami, był tak uderzającym w swoim rodzaju zjawiskiem w małym sklepiku Lebermanna, jak Rozyna w swoim; w istocie, pan Lebermann miał to niewymowne ukontentowanie, że wkrótce ujrzał, iż jego

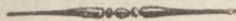
handelek daleko częściej jak przedtém był odwiedzany. Nie same tylko kucharki i młodsze przychodziły, ale często zjawiały się i panie, które dość znaczne sprawunki robiły, i z przymiśleniem spoglądały na tłuźnego młodzieńca, który towarom cenę nazaaczał, wszystko zgrabnie i szybko załatwiał, i umiał nadać swojej mowie, zarówno uniżoność jak grzeczność, zachowując przytém rozsądek i umiarkowanie. Lebermann niepośiadał się z radości; cały dzień mruzczał pod nosem, i kiedy mekiedy uraczył Karola jakiś pochlebnym słówkiem, albo eszczypnął w policzek, lub pod brodę poglaskał Rozynkę, która jak dawniej równie wsklepie była czynną, co także stało się przyczyną, że pan Lebermann zdawał się zapominać o powodach dla których przyjął do swego domu Karola Werner.

Stary ten lis miał jednakże prawdziwie kupiecką spekulacyjną głowę na karku, i rozumował sobie tak prawie: Ten musje Karol, jest to młodzieniaszek, z dwoma wielkimi bystreimi i żywoczymi które na Rozynkę często spoglądają, a kto wie, czy nie częściej niżeli tego potrzeba koniecznie wymaga. Ale to jest właśnie czego potrzebuję, bo jak się chłopak zakocha w jej twarzyczce, tu będzie naturalnie okrutnie zazdro-

sny, jak turek, a t \acute{e} m sam \acute{e} m b \acute{e} dzie j \acute{a} pilnowa^I lepiej, ni \acute{z} eli ja, jedna \acute{k} że to go nie mo \acute{z} e doprowadzi \acute{c} do \acute{z} adnych widok \acute{o} w rzeczywisto \acute{s} ci; i niech nie my \acute{s} li, że zostanie moim zięciem, ju \acute{z} ja si \acute{e} postaram wywie \acute{s} ć go z bł \acute{e} du.

W sam \acute{e} j rzeczy, nie opu \acute{s} cił on dnia jednego, żeby urywkowemi słowami lub przysłowiami, nie przypomniał im aby si \acute{e} zakazanego owocu wystrze \acute{g} li. Ale ah! Pan Lebermann który tak wybor-
nie umia \acute{r} rachowa \acute{c} , nie znał la \acute{u} czuchowe reguły mi-
ł \acute{o} ści, bo si \acute{e} jej nigdy nie uczył, gdy tymczasem
jego roztrzępana córeczka, codziennie wi \acute{e} ksze
w tym rachunku postępy okazywała.

ROZDZIAŁ TRzeci



ROZDZIAŁ TRZECI.

Uciechy miłości.

Jak nie, przeszło dwa miesiące naszemu młodemu Wernerowi, mieszkającemu pod jednym dachem z Rozynką; trzeci już nawet zbliżał się do końca, a swoboda, wesołość i szczęście

dwojga koehanków, nieczém zakłócone nie zostały. Przypisać to po większej części należy, niewiadomości ich, a raczej niepewności o swoich uczuciach; dotychczas bowiem, zachodziło pomiędzy nimi, niejakié oddalenie; najwięcej jeżeli nieznaczny uśmiech, słodkie spojrzenie, lub mrugnienie okiem, były tłómaczem cichych uczuć, a wiele już było, kiedy przypadkowe spotkanie się rąk, okryło oba policzki żywym rumieńcem. Dość było dla nich szczęścia, kiedy się mogli często widywać i być razem, Karolowi ani w myśli nie powstało, patrzeć zazdrośnym okiem, jeżeli kiedy jaki młody wiercipięta na Rozynek się zapatrzył, lub jakie pochlebne słówko przemówić odważył się; Rożyna zaś zdawała się cieszyć wewnątrz, widząc jak nie raz ogniste spojrzenia dziewcząt, a nawet dam pięknie wystrojonych, z upodobaniem na jej młodego przyjaciela się zwracały. Lecz przypadek popsuł wszystko, i sprowadził zamieszanie, które w całej pełni dało im uczuć błogość i cierpienia ich namiętności.

Pod podłogą sklepową, znajdowała się piwnica, do której się schodziło po schodach z sklepu przez drzwi leżące, umieszczone pomiędzy

stołem krainym a wchodem do izby jak to powszechnie w starych budynkach widzieć się daje. W téj piwnicy zachowywane były letnią porą wszelkie przedmioty topliwe lub zepsuciu uleż mogące, a ponieważ często potrzeba było schodzić do piwnicy, przeto drzwi stały prawie ciągle otworem, co już nawet nie raz było powodem przypadku. Po południu około godziny trzeciej, jedynéj w której pan Lehermann nie miał oszów zwróconych na swoich domowników, albowiem zwykł był w starém swém skórzaném krześle drzymać, Rozyneczka, czy to w chęci pogadania z swoim miłym kuzynkiem, czyli też mając jaką inną potrzebę, przemknęła się po cichu z izby, przymknęła lekko drzwi, i nagle zakryła ręką książkę, którą właśnie Karol czytał z wielkiem namiętnością, tak, że tego wszystkiego nie słyszał.

— Aha, złapałam przecie, rzecz z uśmiechem, już od dwóch dni kuzynek czyta ciągle i bez przestanku; radabym wiedzieć co to jest... Jak to? wiersze; Uhlanda poezje; a to pięknie, — żeby to mój ojciec wiedział i musi się dowiedzieć jakim jego córka. —, Błazeństwo, rzecz dalej nadsiadując zrzędenie starego Lehermanna, — cyna-

mon ważyć—gwozdzi ki tluć—w szufladzie pustki—funciki kleić wiersze, romanse, głupstwa, nie ma sensu—bezach mięboli, żaden porządny kupiec, a przynajmniej detalista, nie powinien znać książek—precz z tém, na ogień—kawę ugotować...i koniec.“ I w tém skoczyła na bok wesoło z książką, a Karol goniąc za nią, prosił po cichu: „Rozyno, Rozyneczko, zaczekaj, posłuchaj chwilke!

— Nic z tego, mój poważny panie kuzynku, a raczej musje Karol jeż li się spodoba; ja jestem posłuszna córka, niech mój ojciec osądzi, czyli....w tém momencie usawając się tyłem, Rozynka zbliżyła się do otwartéj piwnicy, potknęła się, straciła równowagę, i wpadła w głębię wydając jęk przytłumiony.

Jak błyskawica przyskoczył Karol, ale ją już znalazł podniesioną i o ścianę opartą,—„Wielki Boze! zawołał drżąc cały jakież nieszczęście.“

— Cicho, tylko cicho, odpowie ona z lekka, żeby się ojciec nie obudził, temu wszystkiemu książka winna. Aj, aj, moja noga, moja prawa noga, złamana na drobne kawalki, jakże ztąd wyleść?

Nie mówiąc ani słówka, objął młodzieniec narzekającą Rozynę i w momencie wynieśli ją do sklepu.

— Pobiegnę, zawołam o pomoc, sprowadzę lekarza, mówił Karol przełknięty.

— Niech no kuzynek zaczeka chwilkę, zdaje mi się, że nie złamana. Doprawdy, nie złamana, mogę nawet na nią nastąpić. Zostawiłeś drzwi otwarte, wszystkiemu jesteś winien; proszę mię do stołka doprowadzić.

— Zauosę cię, droga Rozyneczko!

— Zanieść, broń Boże; to sobie zastrzegam, nie, poprowadz tylko zwolna, lekko.

Nareszcie doszła do krzesła, zatrzymując się i stękając co krok, przyczem starała się z całej siły opierać na ramieniu kuzynka.— „O mój Boże! moja noga, urosła się zwichnąć zupełnie, bo jej wcale zgiąć nie mogę.“ Mówiąc to wystawiła napród nóżkę, a kuzynek z biciem serca uchwycił ją i zaczął w tą i ową stronę poruszać. Drżąca jego ręka, tak gorąco przyciskała nóżkę, że przez trzewik, aż do samego serca dziewczyny zar łuby przeciskał się i sprowadził na jej usta drżący uśmiech.

— Czy bardzo dokucza ból? zapytał Karol dobrodusznie i troskliwie.

— O, nie, odpowic, rozumiem że mi już lepij.

— Jestem w rozpacz, jak się ojciec obu dz i wazysko zobaczy.

— Ab! on jeszcze łędzie spał pół godziny,..; ale najwięcej mi dolega pod podeszwą, aj, a moja głowa, teraz dopiero poczułam; musiał się ogromny guz zrobić. — Doprawdy, doda z przelęknieniem, czolo mi nabrzętało, trzeba oc-tu przyłożyć i pryncisnąć. Ale czem?...

— Oto jest wielki noż. —

— Noż od sera? aj! nie przybliżaj się do mnie.

— To może linj?

— O! nie, nie. taka brudna.

— No to tasak od cukru.

— To żelazo, okropnie zimne. Nie wytrzymam tego.

— Cbyba ręką będę probował. — Nie na to nie powiedziała, a Karol naciskał guz ręką, przytrzymując drugą ręką głowę z tyłu. Oddech ich zmięszalsię razem, oczy z bliska na siebie spoglądały; i Bóg raczy wiedzieć jak się to stało, że jego usta nagłe się zbliżyły do pięknego buziaczka i dwa...trzykroć porwały z niego zdobycz, a Rozynką

o pomocy ratunek nie wołała. Musiało to być boskie przeznaczenie, bo w ciągu całego tego zdarzenia nikt do sklepiku nie zajrzał.

Kiedy już Karol nachylał się aby po czwarty raz złożyć ogniste pocałowanie na ustach Rozy, ta uchyliła się na bok, zasłoniła rączką, a żywy rumieniec zaczął ustępować miejsca bladeści. Dreszcz przebiegł po jej całym ciele, i dwie duże krople łzów napelniły jej oczki. „O mój Boże! mój Boże! powie z westchnieniem, jakże mi trwożno; cóżes uczynił kuzynku.

Ale ten nic nie mówił, wziął ją tylko za rękę przycisnął do serca, potem poniósł do ust, i dopiero po niejakić chwili był w stanie wyjąknąć że jest najniezszczęśliwszym, żeby mu przebaczała, bo tylko miłość żywa, uczyniła go tak śmiałym.

— To ty mnie kochasz? zapytała go z cicha, i patrząc nań szczególnie dziwnym sposobem.

— Tysiąc razy więcej jak moje życie, odpowie całując ją na nowo w rękę, a ty kochasz mnie także.

— Ja sama nie wiem, ale mi się zdaje że podobno... Święty Boże! ojciec mój już się rusza trzeba ztąd uciekać natychmiast, nie zatrzymuj

mnie, . . . , puść moją rękę, jeżeli mnie kochasz! niedługo ojciec się przebndzi.

Wsunęła się do izdebki tak szybko i lekko, jakby nigdy była do piwaicy nie wpadła, a Karol z sercem przepelnioném i oczami błyszczącemi przyjął jakąś damę dość otyłą, która właśnie ze służącą weszła do sklepiku.

Była to sobie wdówka, i to jeszcze w wieku, w którym kobiety tak bardzo lubią uchodzić za młode i powabne, i używają całej sztuki gotoweli, dla przywołania ubiegłych dni młodości. Jedném słowem, minąwszy już trzydzieści, zbliżała się do czterdziestki, wszelako kiedy starannie wytarła twarz woniącemi proszkami, a na to przyłożyła czerwienidla, wyglądała pomimo nieco zbytecznej otyłości, do zadziwienia młodą i ujmującą. Zęby miała świetnej białości włos ciemny, miękki, starannie na głowie ułożony, ubiór podług najświeższej mody sporządzony i co zapewne nie u jednego daleko więcej znaczyło, była bezdzietną wdową, po pewnym konsyljarzu, i posiadała bardzo znaczny majątek. Zajmowała całe pierwsze piętro w domu naprzeciwko sklepu Lebermanna, trzymała ekwi- paż, dawała wieczory, i uchodziła jeszcze za

dobrą partję, gdyż pewien hrabia, który wiele o swoich dobrach w Czechach rozprawił, pewien baron, który niegdyś był posłem w Konstantynopolu, kapitan gwardji, spodziewający się zostać nie długo majorem, i radca dworu, także wdowiec, ztrojgiem dzieci i pensją roczną 600 talarów, starali się razem o jej rękę, że pominiemy mnóstwo młodych trefnisiów, assessorów, poruczników i innych officjalistów.

Ale pani Robertson, jak każda majątna osoba, miała swoje uprzedzenia i grymasy. Nie, żeby miała kiedy przysięgać, iż nigdy się pod jarzmo Hymena nie podda, przec iwnie, życzyła ona sobie pójść za mąż. Wieczory które dawała, ten miały cel, aby zgromadzać kandydatów dla dowolnego między niemi wyboru, wszelako, ponieważ pierwszy jej pan małżonek nie był wcale wyskokiem piękności, ale tylko po prostu długim, wysokim, chudym i zżółkłym konsyljarzem, przeto pragnęła sobie pierwsze więzy powtórnemi wynadgrodzić, i wymagała takich przymiotów, że żadnego z swoich wielbicieli nie uznawała godnym swęj ręki, i po każdym podobnym wieczorze, kładła się na spoczynek w najgorszym humorze, i ztorzeczyła światu i losowi,

że jój życzenia spełnić nie może, albo nie chce.

Pewnego rana siedziała w oknie poziewając i przewracając kartki Dziennika mój, gdy w tém oko jój zwróciło się przypadkiem na sklepik, przed którym właśnie stał Karol i na ulicę wyglądał.

— Henrjeto, co to za młody chłopiec, tam naprzeciwko u kupca? zapytała pani Robertson, chwytając za swoją teatralną lorynetę.

— Ah! wcale przystojny mężczyzna, zawoła pokojówka. To jest krewniak starego, dopiero od kilku miesięcy ma go u siebie.

— Czy bogaty? zapyta konsyljarzowa.

— Bogaty? miły Boże, żeby on był bogaty, pewnieby tam nie siedział u tego starego oszukańca.

— Ale stary ma zapewne pieniądze? zapytała dalej pani.

— O! to stary lis, odrzeknie dziewczyna z uśmiechem, przed całym światem wyrzeka, że jest biedny, tak, że nie jednego ochota bierze darować mu grosz, a jednak mówią, że leży na pieniądzech.

— Ale on ma piękną córkę, powie pani Robertson.

— Juscieć tak bardzo piękną ona nie jest, odpowie Henrjeta przez zęby i spoglądając z boku w zwierciadło, widziałam daleko piękniejszą. Prawda, że jakie parę tuzinów chłopców wybiegało sobie za nią nogi, ale daliby pokój gdyby pieniędzy nie zwąchali.

— Może się z nią ten młody człowiek ożeni, mówiła dalej konsyljarzowa i ea nowo przyłożyła do oka lornetkę.

— On? rzeczepokojówka z uśmiechem, i raptem ucieła.—Ba, ba, on jój nie dostanie. Stary przed każdym rozpowiada, kto go tylko słuchać zechce, że jego córka musi dostać męża bogatego. On miałby przyjąć na zięcia, tego, którego z nędzy wydobył? nie, nie, nigdy mu swojej córki nie odda.

Pani Robertson zamilkła, piła dalej swoją czekoladę i znów zaczęła przewracać Dziennik mój, ale skoro tylko pokojówka wyszła, stanęła przed zwierciadłem, poprawiła na sobie wykwiintny negliz, uśmiechnęła się z zadowoleniem, i otworzyła okno. Wtój samój chwili Karol oddalił się w głąb sklepiku, a wdówka nieukonten-

towana, zatrzasnęła napowrót okno. Od tego dnia, loryneta ciągle stała na oknie, a pani Robertson najwięcej odłąd w oknie siadywała, i po całych godzinach na sklepik z przeciwka spoglądała. Przez cały tydzień ciągle była w złym humorze, nikt jój nie umiał dogodzić, łajęła ciągle służące, które z tego wszystkiego nie pojąc nie mogły, znały bowiem swoją panią, że nigdy nie była ani złą ani zrzędną. Zdziwienie ich przeszło miarę, kiedy pani konsyljarzowa, niegdyś zawsze wesola i lubiąca zabawy, nagle przestała przyjmować towarzystwa, bywać w teatrze, a nawet o zgrozo! straciła apetyt, że najprzedniejsze potrawy, najrumieńsze pieczyste, zostawiała nie-
tknięte.

— Radabym jednakże wiedzieć, rzeknie Henryeta do kucharki, co się z naszą panią dzieje. Cały dzień zrzędzi, nic nie jada, a w nocy spać nie może, tylko ustawicznie wzdycha. Jeżeli tak dłużej potrwa, nie zawodnie umrze, a my służbę postradamy.

— Powiadasz, że wzdycha? zapytała kucharka przestając obracać rożen z pieczeniem. No, no to już wiem.

— I cóż wiesz?

— At! niezawodnie jest zakochana, i to tak pewnie, jak, że się tu ogień pali.

— Zakochana? zapyta Henrjeta wytrzeszczwszy wielkie oczy na kucharkę; masz słusność, może to i prawda, ależ ona nie pozwala się wiedzieć żadnemu z licznych wielbicieli. Konsyljarz był tu już sześć razy, kapitan i hrabia już schody wydeptali, a baron urwał sznurek od dzwonka.

— To wszystko jedno, powie obojętnie kucharka, dla tego ona jest zakochana i basta. Kiedy ja się kochałam w podoficerze od Dragonów, który zginął pod Lützen, toż samo i ja doświadczałam. Ah! to był prawdziwie piękny mężczyzna, zupełnie taki jakiego sobie życzylam; wdychałam za nim dzień i noc, nie raz przypalałam pieczęste, lub zupełę przydymilaś, i dla tego oddalono mnie ze służby. Pomimo to, kochałam go co dzień więcej, dopóki z nas jedno serce i jedna dusza się nie stała.

— Ale w kimżeby się ona z licha kochała? przerwie młodsza, ja przynajmniej nie zgaduję.

— To wszystko jedno, ja zawsze powiadam, że ona się kocha, i dość na tém.

W tęm miejscu rozmowa przerwana została przez panią konsyljarzowę, która nadeszła do kuchni z przykremi wymówkami że kawa niegodziwa od niejakiego czasu:

— Zkąd bierzesz kawę, rzecze do kucharki z gniewem.

— Z przeciwka, proszę pani, jak zwyczajnie, od starego Lebermanna.

— Ta kawa jest oczywiście podlęszego gatunku, ponieważ ma taki niegodziwy smak.

— Pani, odpowie kucharka z uzaleniem, ja jestem uczciwą służacą, i...

— No, no, już dobrze, przetrwie jęj pani, ja ciebie bynajmniej nie winęje, ale zapewne kupiec cię oszukał, i dałś sobie wcisnąć w rękę lichy towar.

— To proszę pani, na drugi raz wezmę gdzieś indziej.

— Obejdzie się, prędko odpowie konsyljarzowa, pojędę sama naprzeciwno, i wybiorę co najlepszego, Jeszcze nie ma trzeciej, do obiadu daleko, a nie masz nic mezośniejszego jak pić

złą kawę. To mój najlepszy przysmak, nie chciałabym przeto pozbawiać się onego.

Służące spojrzwały po sobie z zadziwieniem, ale pani kazała Henryce żeby z nią poszła i tym sposobem udało jej się zamówić pierwszy raz do sklepu Lebermanna, do którego weszła właśnie wtę porę kiedy Rozyna do pokoiku odechodziła, a stary założywszy długie ręce w tył głowy w swoim fatersztulu, zaczął niezmiernie poziewać i sapać, co było niezawodnym znakiem że się dopiero przebudził.

Konsyljarzowa dla pozornej zamówki, zaczęła od uskarżania się przed młodym czeladnikiem na złą kawę, przyczém bardzo słodkie na niego rzucała spojrzenia, słuchając jego uniewinienia i zapewnienia, że kawa jest najlepszego gatunku, drobna, niebieskawa, prawdziwa mokka, która za najlepszą w całym świecie jest uważana i ma smak nader delikatny. Z tego zawiązała się nieznacznie gawędka, w ciągu której konsyljarzowa „kazała sobie odważyć sześć funtów kawy i tymczasem wzięła w rękę książkę leżącą na stole.

— Pan widzę lubisz poezję? rzeczy łagodnie, Uhlenda pan czytasz? Przewyborny autor lubię go niewymownie.

— I ja także przyznać muszę że jego piękne i pełne czułości pieśni, często mi rozkosz sprawiają, odpowie Karol.

— A jego cudowne, nieoszacowane Satyry, powie dalej konsyljarzowa usmiechając się. Karol spojrział na nią zdziwiony—przecież musisz że pan znać, jakże się nazywa..... a... listy z Paryża.

— Mniemam, że ich autorem jest Ludwik Börne.

— Tak, tak prawda, Börne, zawoła konsyljarzowa; to przewyborny człowiek, nigdy nie mogę jeść śledziowej sałaty, bez wstrzymania się od śmiechu.

— Śledzie, przewie nagle Lebermann, prawdziwie holenderskie, Maages, najlepszego gatunku, bardzo tanio, po dytku sztuka, zupełnie świeże. Złożę się że pani nie będziesz się śmiała z moich śledzi.

— Wierzę, wierzę, odpowie wdówka, śmiejąc się głośno razem z Henrjetą, na takie intermezzo — ale skoro je Börne przyprawi, same śledzie śmiać się muszą,

— Śledzie, śmiać się, mruczał Lebermann, głupstwo, bajki, sprawka czarownicy, dziewiętnasty wiek.

— Oto są, łaskawa pani, sześć funtów kawy, rzecze Karol ukrywając ile możności chęć do śmiechu, czy pani każe sobie czém więcej słuzżyć?

— Proszę o głowę cukru.—Ale co myślisz o Börnego pełnych przygody widelcach? Czyniąc to zapytanie, konsyljarzowa spojrzała z ukosa na starego Lebermanna.

— Widelce? odezwie się tenże, przyznam się, nie wiem co na to odpowiedzieć. Śledzie? widelce? ah! ah! teraz domyślam się; sposób nazywania przez marynarzy ogona śledziowego, widelcami.....inaczej, nie znam innych jak stalowe, dobre Solingskie widelce....i koniec.

Konsyljarzowa mało nie pękła od śmiechu. Na miłość Boską, przestań pan, bo dostanę kółki.

— Kółki, ze śmiechu, zawoła Lebermann z flegmą, brzydka choroba, przyniosę krople, opjum najlepsze na to. I poszedł do izby.

— Przedziwnie, powie konsyljarzowa, nawet w widelcach Börnego nie można się tyle uśmieć co tutaj.

— Podobno, jeżeli się nie mylę, zrobił uwagę Karol, że o nich pisał Platen.

— W saméj rzeczy, poprawiła się wdowa, ten sam co wydał sonety wojenne, i niedawno w Ameryce życia dokonał.

— Owszem, on umarł w Syrakuzie, napomniał Karol, a Sonety o których pani mówi, napisał Fryderyk Buckert.

— Mój Boże, jak pan wszystko wiesz. Jakimże przypadkiem mógł się dostać do téj dziury, młodzieniec tak pięknie wychowany, i z tylą wiadomościami, Pan posiadasz bezwątpienia obce języki?

— Francuzki i angielski, odpowie Karol skromnie,

— Nie, ja tego nie ścierpię, żebyś tu został, muszę się zająć twoim losem, powinieneś być na wielkim świecie, tam możesz jaśnieć.

— Przystaję na malém, rzecze Karol, i umiem być kontent z terażniejszego mojego położenia.

— Widać, że tém szlachetniejszy masz umysł, przerwie konsyljarzowa, ale jeżeli zechcesz przyjąć moją protekcję, pozwolisz, że się cokolwiek będę wtrącać do twojego postanowienia.

Karol uklonił się nisko.

— Dobrze, dobrze, żegnaj pana, mój młody przyjacielu, postaram się, żebyś otrzymał wkrótce miejsce, na jakie zasługujesz.

Ledwie wyszła, gdy Lebermann powrócił z flaszeczką, łyżką i kawałkiem cukru.—„Musiałem szukać, długo bawiłem, proszę wybaczyć; to jest balsam wyborny, elixir szwedzki, codziennie używając można żyć i sto lat, to sekret nieopłacony.... Teraz dopiero odjął wzrok od łyżki i kropli, i spjrzał na około.... Poszła, ...niech ją czart porwie, patrzcie.... oszalała, —słodziowa sałata—kolki ze śmiechu—to nadto, ha, ha, ha,—ale jedyna kobieta, dobra dla nas, bogata bardzo, za nas pani—bogata—i koniec.

— Ludwiko, zawoła Henrjeta wchodząc do kuchni z cukrem i kawą, teraz mi się dopiero oczy otworzyły; a wiesz ty w kim nasza pani się zakochała? w owym młodym czeladniku na przeciwko, gdzie to kawa rośnie.

— Eh! nie masz zastanowienia, rzecz kucharka biorąc się na powrót do swojego rądla.

— Oho! nie bój się, mam ja rozum, odpowie tamta, co ja wiem, to wiem. Trzeba było widzieć jak robiła słodziuchne oczki, jak mu się przymilała, a kiedy jej podawał kawę, jak nie

za nią, ale za jego rękę schwyciła, jak na niego, mrugała i jak z nim rozmawiała!..

— Słodkie oczki, mruganie? rzecze kucharka, kiedy tak, to masz słusność, bo kiedyś się kochała w podoficerze od dragonów, toż samo robiłam.

— I ten hołysz miałby tu panem zostać? zawoła młodsza złośliwie. Nie, nie, pierwój ja ztąd pójdę, nimbym jemu miała usługować.

— Dla mnie zaś, to wszystko jedno, odpowiedziała spokojnie kucharka. Któs przecie musi być tu panem, a on jest bardzo przystojny mężczyzna, ja trzymam za niego, i powiem mu to dziś wieczorem.


— A ja pani wyperswaduję, powiem, że jeszcze za młody, i niezawodnie jój się przeniewierzy.

— A komuż by on lepiej przysiał, może tobie, rzecze kucharka z przekąsem.

— Tysiąc razy prędzej, niżelitakiej starój jak ty, co siedmioletnią wojnę pamiętasz, odpowie pokojówka rozśmiałszy się szyderezem.

Kłótnia już była gotową; obrażona kucharka porwała ze czerpak napelniony ułropem, i już

ehciała porządnie ochrzcić swoją przeciwniczkę, ale ta zręcznie uniknęła ciosu, i stanawszy w progę, tapiała nogami i sprzeciwiała się kucharce, która znów zaklinała się, że młody człowiek musi się ożenić z panią.



ROZDZIAŁ CZWARTY:

Cierpienia miłości.

Następujące dnie upłynęły bohaterom naszej historii na samych marzeniach i projektach. Pierwsze chwile szczęśliwego obrzędu przeminęły, a Karól pomimo młodego wieku, nadto był roz-

tropnym, aby nie uważał, jakie trudności miłość jego będzie miała do pokouania. Wiedział on, że Lebermann, nietylkoby go wyśmiał, gdyby mu wyznał swoją miłość do Rozyny, ale nawet tak prędko z domu wypędziłby go, jak do niego przyjął, gdyby domysły jego w tej mierze, jakie zdawał się czynić, przybrały więcej rzeczywistości. Rozynie także kręciło się po głowie to i owo, spuszczała na dół oczy, spotkawszy się z Karolem, unikała starannie każdego zostawania z nim sam na sam, straciła kolory, wzdychała, zamysłała się, jednym słowem doświadczała, wszystkich cierpień i trosk miłości, tak jak Karol. Co najgorszego było, to to, że jej smutek i roztargnienie tak widocznie na młodym czeladniku oddziaływały, że ten, pod okiem nawet mojego pryneypala, co moment baka ustrzelił. Z najczęstszymi gośćmi słowa nie przemówił, zamyslał się kiedy był o co zapytany, do syropu wlał olej terpentynowy, zamiast masła podawał szare mydło, ser zamiast kawy, odważał funt zamiast półta, lub przeciwnie, tak dalece, że podobne, nader częste omyłki końca nie miały. Lebermana nie był taki człowiek, iżby to wszystkodługo cierpliwie znosił. Krztusił się, trząsał głową, nogą

trącał roztrąconego, a za najpierwszą sposobnością wypuścił obficie z ust, co miał na sercu.

— Ja nie wiem, musje Karol, co ci w głowę wlało. Wszystko się na opak robi, marzy się myśli — do kantoru do buchalterji to ujdzie; ale szkodę robić, to nie bagatela, kto cierpi? ja biedny ubogi człowiek, ha, ha, ha. Co się to znaczy? dodał, a przytem spojrział okropnie na struchlałego młodzieńca, żadnego porządku, uwagi, kupujący co raz ubywają, już od dwóch dni to upadek, jak tak dłużej będzie, to się pożegnajmy musje Karol, postaraj się gdzie indziej o miejsce, niech sobie będzie kto chce głupim, a lenie ja. . rozumiesz? . . . i koniec.

Nieczekając odpowiedzi pobiegł stary prędko do swjej izby, trzasnął drzwiami, i rzucił się na swój ulubiony fatersztul, założywszy na krzyż nogi. Biedny Karol; czuł dobrze własną winę, ale trudno mu zawsze było wytrwać w dobrej chęci, którą sobie przyrzekał po każde swojej nierozwadze. We śnie i na jawie stał mu przed oczami obraz Rozynekki, o niej jedynie myślał i ciągle zaglądał do okienka, w którym ona nie szyła, ale w zamysleniu siedziała. Ciężka jakaś boleść toczyła jego piersi, świat cały zdawał

mu się za ciasny, chciałby własnymi rękami rozdrzeć udreżoną pierś, aby przez nią wpuścić świeżego powietrza do wrzącego serca. W podobnym roztażnieniu umysłu, popełniane błędy, łatwo mu przebaczyłby każdy, kto zna co jest kochanie, ale nie pospolite dusze, którychby to obchodzić mogło, albo nieczuły Lebermann, który tylko o swojej szkodzie myślał.

Ostra przymówka starego skapca, była Karolowi niewymownie przykrą. Poznał on teraz dowodnie, że tylko słodki uśmiech Rozyny przywabił go czarodziejską siłą do tego zakątka, i że niestety! ten sam uśmiech, miał go chaniebnie wypędzić. Gdzież się udać? Młodzieniec 23 letni, bez przyjaciół, bez widoków, nieszczęśliwy, nieposiadał nic, oprócz ubogięj, podeszłej w wieku matki i siostry potrzebującej pomocy.

„A jednak trzeba koniecznie, muszę! mówić sam do siebie. Czego ja się tutaj doczekam? - Nie, nie mogę dłużej zostać w miejscu, w którym co dzień dotkliwiej czuć muszę niedolę i nędzę. — Stój! ..konsyljarzowa....chce być na mnie łaskawą, może mnie gdzie umieści, niechby

najniepozorniej; wolę być pisarzem, kamerdynerem, aby nie tutaj. Napiszę do niej...

W tym momencie usłyszał za sobą westchnienie, obejrzał się... i zobaczył Rozynkę łzami zalaną, z załamanymi rękami, bladą jak trup.

— Wielki Boże! zawoła Karol przestraszony, co ci to, czyś znów upadła.

— Nie, odpowie ona z cicha, ale zstąpię nie długo do grobu, jeżeli doprawdy uczynisz tak, jak dopiero mówiłeś.

— Ah! Rozyneczko! jestem najniešťczęśliwszy, od owego zdarzenia w piwnicy, w głowie mi się przewraca jak młyńskie koło.

— Czy myślisz, że mnie jest inaczej? rzeknie płacząc Rozyna. Już od trzech dni pruję to co zeszyłam.

— Dobra Rozyneczko! o mój Boże, jak jój serce mocno bije. Czy pozwolisz mi mówić, czy mogę ci moją myśl objawić?

— Dobrze, mów, tylko cicho, bardzo cicho, Ojciec się zdrzymnał, ale sędę, że niezadługo się przebudzi.

— No, więc mię posłuchaj, najmilsza! Kocham cię, kocham nad wszystko, i żyć nie będę jeżeli nie zostaniesz moją. Będziesz-że mnie

zrówną mocą kochała? Czy będziesz miała odwagę, w razie potrzeby, wytrwale czekać, dopóki ja, droga Rozynko, nie będę się mógł z tobą ożenić.

— Ożenić? przerwie Rozyna cała zdumiona i drżąca, jak gdyby nigdy jeszcze podobna myśl u niej niepostała. Tak jest, Karolu, będę czekać, będę pewnie czekać, niezawodnie, ale i ty mnie przecież nie zechcesz porzucić?

— Nigdy! nigdy! zawoła z uniesieniem. O Boże! nie dopuszczaj tego nigdy.— Długo i z lubością wpatrywały się wzajemnie ich oczy błyszczące z radości i zachwycenia, aż nagle usta ich zbliżyły się, i długi, słodki całus przypieczętował niezachwiane ich postanowienie kochania się wiecznie.

Właśnie w tej chwili ktoś otworzył z ulicy drzwi do sklepu, a młoda para ledwie zdążyła odsunąć się od siebie, gdy weszła Henrjeta z bilcikiem od swojej pani. Tym czasem też i Lebermann się obudził i przez szybkę zajrzał do sklepu.

— Pani konsyljarzowa przysłała do młodego pana ten list, rzecze Henrjeta zadzierając nosa do góry,—mam czekać na odpis.

Karol odpieczętował, i przeczytał krótkie wezwanie, aby jak tylko będzie miał czas, a najpóźniej dziś jeszcze po południu, odwiedził ją, gdyż ma coś ważnego do udzielenia.

— Jak tylko będę mógł, stawię się, szepnął Karol do posłanki.

— Zdaje się, że pan musisz mieć ważne zatrudnienie, odpowie służąca, spoglądając złośliwie na Rozynę, wszelako, jeżeli pan przyjdiesz, to proszę się pospieszyć, bo moja pani chciała by wyjechać, a później będzie w teatrze.

Na te słowa nadszedł Lebermann i dowiedział się od Karola, o co rzecz idzie. Twarz starego zajaśniała nowym blaskiem radości.

— Zaraz będzie służył, natychmiast, rzeknie, tak wysoki zaszczyt, nie można odmawiać. Ale moje serduszko, coś kwaśną masz minkę, może kochanek zdradził, ha, ha, ha; może się zle spaliło, ... i koniec.

— Tak, tak, koniec, odpowie pokojówka ale strzeż się pan, żeby nie długo inny koniec nie nastąpił. To powiedziawszy wyszła, a Lebermann powiódł za nią oczami.

— Głupie stworzenie!, ...no, wusje Karol, żywo, ogarnąć się, nowy tuzurek, porządnie czy-

sto;—pójdiesz naprzeciwko. Będą robić ob-
stąunki, trzeba z sobą wziąć próbki, zachwalać,
im więcej tém lepiej—kupiec powinien z wszyst-
kich korzystać, i do wszystkiego się ułożyć; je-
szcze tego nie potrafisz, ale powoli, i to przyjdzie
z czasem he, he, he, —kawa, cukier, oliwa, ma-
my właśnie najprzedniejszą oliwę prawdziwą
Luk'ierską, a teraz właśnie pora sałatowa; ona
musi brać wszystko, nie odstępuj, póki dobrego
interesu nie zrobisz:

W kilku chwilach młodzieniec stanął przed
panem Lebermann, w swoim świątecznym u-
biorze, i napelniał kieszenie rozmaitemi próbka-
mi, flasz czkani i t. p.

Modne ubranie podniosło jeszcze bardziej je-
go urodę, a biała i świeża chustką na szyji, od-
bijała tak dobrze przy regularnych i pięknych
rysach twarzy młodzieńca, że nawet zachwycił
Lebermanna, który zacierając ręce z ukontento-
wania, mruczał pod nosem słowa na wpół po-
łykane, gdy tym czasem Rozyneczka z boku o-
czkami strzelała, uśmiechała się i wzdychała.

Przyszedłszy do konsyljarzowój, Karol został
wpuszczonym do przedpokoju, i zatrzymał się, pó-
ki go Henrjeta, przygryzająca sobie ze złości
wargi, niezamelduje.

Zdawało się że pani Robertson, chciała od razu olśnić go całym swoim bogactwem, albowiem Henrjetta powróciwszy, poprowadziła go w głębokim milczeniu, przez pięć czy sześć, kosztownie ozdobionych pokoi, w których kobiece, zwierciadła, świeczniki, i mnóstwo przedmiotów zbytku, oczom się jego przedstawiały. Nareszcie znalazł się w gabinecie konsyljarzowej, która w położeniu malowniczym spoczywała, na w pół leżąc na sofie i za jego nadejściem dopiero, podniosła się kładąc na boku książkę którą w ręku trzymała.

— Witam, witam, rzecz z czarującym uśmiechem, proszę kapelusz położyć i usiąść przy mnie, mam wiele do powiedzenia. — Okropnie dzisiaj gorąco, tak że nawet czytać nie można. Czy znasz to pan? to jest coś świeżego, „Gruz, przez Anastazego Grün.“

— Słyszałem o nim, odpowie Karol, powiadają że pod dziwacznym tytułem, ma się mieścić wiele rzeczy wybornych.

— Im szczytniejszy duch tym śmieszniejsza powierzchność, z tym wszystkiém Grün bardzo

mi się podobał, a prócz tego jest szlachcicem i panem na Nimszycach.

— Jeżeli się nie mylę, jest on hrabią na Auersbergu.

— Ah tak, przerwie pani Robertson, tamtego nazwisko jest Emerenejusz Scevoia.

— Podobno Mikołaj Lenu.

— Mój Boże! nie będę się sprzeczać, bo przyznam się że tak wiele czytam, iż częstokroć nazwiska zapominam; albo wcale przekręcam. Widzę że w tej mierze nie obejdę się bez pomocy, i do tego, pana, mości Werner umyślałam użyć.

— Maie? odpowie Karol z zadziwieniem. Łaskawa pani, nie wiem...

— Posłuchaj mnie tylko, powie konsyljarzowa przysuwając się bliżej. Jestem samajedna, i często doświadczam znudzenia. Jestem wdową— ten ostatni wyraz wymówiła nieco głośniej, spoglądając przenikliwie na Karola -- nie mam dzieci, lubię namiętnie literaturę a jednak nie mam dość czasu zajmować się książkami i przyznam się z otwartością, że częstokroć czytanie nudzi mnie niewymownie. W Pan nie jesteś na swym miejscu u p. Lebermana; jesteś młody, utalentowany, pięknie ułożony, zatem proponuję ci

miejsce lektora przy mnie, ażebym w chwilach wolnych, z twojego towarzystwa korzystać mogła. Jestem bogata, zapewniam ci 500 talarów, a jeżeli na tę propozycję przystaniesz, mam nadzieję że wkrótce będziemy najlepszymi przyjaciółmi. — Tęj, mowie towarzyszyło ogniście czułe spojrzenie, które ugodziło Karola tak silnie, iż okrywając się żywym rumieńcem, spuścił na dół oczy.

— Łaskawa pani, rzecze z zająknięciem, sam nie wiem.... ten zaszczyt... prawdziwie jestem zawstydzony, ale wyznać muszę, że przy moich szczupłych wiadomościach, nie zasługuję na te względy.

— Mój Boże, jaka skromność; oto masz moją rękę, na zapewnienie że twoje wiadomości jakiegokolwiekby one były, są dla mnie dostateczne. Mówiąc to, konsyljarzowa wyciągnęła ku niemu rękę, ale z wielkim zgorzzeniem i zadziwieniem, postrzegła że młodzieniec tyle jest nieuważny, iż nawet nie spojrzał na nią.

Serce mu się ścisnęło, a zimny pot w dużych kroplach wystąpił na czoło. „Pani! łaskawa pani odpowie nareszcie, racz mi wybaczyć, boli mnie to niezmiernie, cierpię na tém... ale ofiarowanego zaszczytu przyjąć nie mogę.

Pani konsyljarzowa, była kobietą drażliwą, i nadto zepsutą mnogimi pochlebstwami i uległością wielbicieli swoich, aby znieść mogła cierpliwie odmówienie, wyrzeczone śmiało i bez żadnej ogródki. Gniew zapalił jej wzrok, zerwała się z sofy gwałtownie, i stanąwszy przed zdumiałym młodzieńcem, zawołała:

— Czy podobna, tak nadużywać mojej dobroci, mojego zajęcia się, jesteś pan niewdzięcznikiem.

— Błagam o przebaczenie, jednakże z tej dobroci korzystać nie mogę.

— Oddał się pan, rzeknie z dumą, sobie samej winę przypisując, gdyż powinnam była niezapominać, że tylko niewdzięczność i przykrość mogą być skutkiem zajmowania się losem ludzi, do poziomego życia przywykłych.

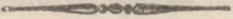
Po tych słowach, pani Robertson oddaliła się szybko, a zgnębiony Karol przesnął się przez wszystkie pokoje ku wyjściu, gdzie Henrjeta rozśmiaawszy się mu głośno w oczy, drzwi za nim zatrasnęła.

Dopiero na schodach wpadła mu na myśl cała cierpkość ostatnich wyrazów rozgniewanej konsyljarzowej; gniew go ogarnął i połączył się ra-

zem zuczuciem swojego ubóstwa i małowladności. Oburzony, zamiast powrócić do sklepu na przeciwko, pobiegł bez upamiętania, przez jedną, drugą, trzecią i czwartą ulicę, dążąc ku rzece Szprei, a przypadszy do mostu, wrzucił w wodę cały swój ładunek rozmaitych próbek, który go bił po nogach za każdym krokiem. Przez dwie godziny biegał jak opętany, z sobą, światem i losami w sprzeczce, aż nareszcie gniew i uniesienie ustąpiło miejsca spokojności i rozwadze.

— Dałby Bóg, rzecz sama do siebie, żeby moja noga była nie postąpiła w tym jaszczurczym domu. Ah! gdybyś Rozynki w mojem życiu nigdy nie znał! ale stało się, do mnie należy, nie mogę, nie mogę, nie jestem w stanie o niej zapomnieć!... Być ubogim, jest to przekleństwo od Boga, wyraźniej napiętnowane na czole nieszczęśliwego, niżeli sama hańba. Pieniądz, pieniądz tylko, jest wielką dzwignią która włada światem i szczęściem. Choćbym był przepelniony rozumem i nauką, cnotą i miłością, przecież mnie wysmieją, wyszydzą, odepchną ze wzgardą w oczach głupca, u którego głowa próżna, ale kieszenie pełne.—Niech się dzieje wola Boża,

dodał przechodząc koło ostatniego rogu ulicy, trzeba znosić cierpliwie swój los, a jeżeli niepodełam, wtenczas.....szukać będę sposobu innego. Dobry Boże! bądź mi pomocnym, ty co tylętwoim stworzeniom szczęśliwości używasz, pozwól niech i ja doczekam się losu pomyślnego. Wszystko na świecie zmianom ulega, po deszczu słońce jasno świeci,....szalony kto rozpacza. A potem czyż to ja już zupełnie nieszczęśliwy? czyż mnie Rozynka nie kocha? czy nie przyrzekła mi, że za nikogo innego nie pójdzie, jak tylko za mnie?—A stary ze swoim złotem i oczami bazyliżkowemi?.... Eh, hejsa! hejsa! mogę wygrać na na loterji, wszakże postawiłem; mogę otrzymać spadek, chociaż właściwie nie wiem po kimby, mogę co znaleźć, jakiego samotnika bez familji od śmierci wybawić, a ten może mi darować jakie 10,000 talarów. Słowem, tylko cierpliwości, wszak mówią, że czas przynosi radę, a ja już sobie raz na zawsze w mojej głowie ułożyłem, że przecież dochrapię się czego, i basta!



ROZDZIAŁ PIĄTY.

Narzeczony.

Wśród takich i tym podobnych monologów, odzyskał Karol dawną swoją wesołość, i z uśmiechem na twarzy wstępował po trzech schodkach do sklepu prowadzących, ale skoro zoba-

czył Rożynę, która z za stołu się wychyliła; stał jak wryty. Na jej bowiem twarzy malował się głęboki i bolesny smutek, oczy jej od płaczu zaczerwieniałe, na jego widok napelniły się znów łzami, które strumieniem po jej bladych licach spływać zaczęły.

— Mój Boże, coż się to stało? zawoła Karol niewymownie przełknięty, chwytając ją za rękę.—Gdzież ojciec?

— Wyszedł, odpowie łkając, ah! najnieszczęśliwsza ze mnie istota, wolatabym teraz w ciemnym grobie spoczywać!

— A to czemu, droga Rozynko? nie, nie możesz umierać, chybaby wszystko już było stracone; ależ opowiedz przecie, może ja co pomogę; czy co stłukłaś? czy jaka szkoda się stała? albo może znów do piwnicy wpadłaś?

— Ah! gdyby tylko to było, niechby się sobie wszystkie faszki i faszki potłukły.

— Ależ to barbarzyńskie życzenie, przerwie Karol; jednakże nierh nakoniec dowiem się o co rzecz idzie?

— Czy znałeś młodego Aschera?

— Syna meklera, któryto za twojego ojca czynności pieniężne załatwia? Znam, to jest gbuś nieokrzesany, cierpieć go nie mogę.....

— I ja także...

— No cóż mu się stało... czy umarł?

— Ab! gdybyż, ale on żyje.

— Mniejsza z nim; cóż on chce od ciebie?

— Niegodziwiec ten, powie Rozyna, zanosząc się od płaczu, wystawno sobie, on się chce ze mną ożenić.

Karol stanął jak skamieniały, z oczami wlepionymi w Rozynę, nie mogąc przemówić i słowa.

— Tak, wystaw sobie, mówiła ona dalej, tylko coś wyszedł z domu, przybył tu stary Mekler, i długo z ojcem rozmawiał. Przez ten czas znajdowałam się tu w sklepie, póki mnie do izby nie zawołali, gdzie mi ojciec zwyczajnym swoim sposobem, krótko zapowiedział, że trzeba pójść za męża.

— Cóż ty na to? zapytał Karól z natężeniem.

— Ja, ja odpowiedziałem, że jeszcze za młoda, że jeszcze czas, że jeszcze wcale o tem nie pomyślałam, i że w mojem życiu nigdy nie chcę iść za męża. Ale dobry Boże, na co się to wszystko zdało? ojciec porwał mnie za rękę tak gwał-

townie, że mi aż siniaki powyciskał, i oświadczył że młody Ascher, jest przystojnym mężczyzną, mającym 80,000, talarów, i jutro zaręczyny.

— Jutro! zawoła Karol, cały drżący; ha! więc dzisiejszy dzień jest ostatnim który tu przepędzam.

— I ty mnie możesz opuścić? rzecze Rozyna płacząc, więc mnie nigdy nie kochałeś.

— Cóż ja pocznę nieszczęśliwy? chętni bym dopomagał święcić wam uroczystość zaślubin, mam patrzeć na porwanie mi tego co mi jest najdroższem, jedynem na świecie.

— Ale mój Boże, rzeknie Rozyna, nie rozpaczaj, jeszcze wszystko może pójść dobrze, chociażbym była i zaręczoną, to jeszcze nie zostanę poślubioną.

— Nie, nie przeżyję tego, wołał ciągle Karol, pomyśleć nawet o tém nie mogę...

— Ani ja też, przerwie Rozyna, i dla tego jestem w duszy przekonana, że to się nigdy nie zjści. Choćby mnie przed ołtarz zawlekł, ja powiem „nie“

— Powiesz? powiesz pewno? krzyknie Karol z radością, ściskając serdecznie jej rękę.

Bąc tego pewnym, niezawodnie powiem, chociażby mnie to w największą nędzę miało pogrążyć. — O Boże, dodała odskakując na bok, oto już przychodzi. —

W samą rzecz, w tej chwili schodził do sklepu po schodkach jakiś młody człowiek, i z niejaką poufalską ukłonił się panience, rzucając na nią spojrzenie pełne bezczelnej śmiałości. Wzrostu był więcej niskiego, a twarz nie mogła być porównaną z twarzą Adonisa, za to ubranie był najwykwintniej, i w całej swojej postaci zacząwszy od okrągło zakończonych butów, aż do małego krótko-włosnego kapelusza, przedstawiał prawdziwego trefnisa.

— Proszę mi darować, rzeknie z łagodnością, czy zastałem tu mego ojca?

— Wyszedł razem z panem Lebermannem. odpowie Karol.

— Więc go nie ma? a jednak miał tu ważny interes, i był tutaj zapewne, nieprawdaż mościa panno?

— Tak jest, odpowie ona rumieniąc się.

— Ah! już wiem, że Wpannie nie tajno, o co rzecz idzie, zawoła p. Ascher, śmiejąc się głośno; *tant mieux* piękna Rozyneczko. Na ho-

nor! lepiej że starzy panowie odeszli, możemy swobodnie i bez przeszkody tę rzecz dalej prowadzić. Czy nie pozwolisz mi panna posłuchania małego *à quatre yeux*? -- Mówiąc to przysunął się do samego stołu sklepowego, i topiąc bezczelnie wzrok w Rozynkę, stanął tuż przed nią.

— Mości panie, odpowie tamta ze drżeniem, sama nie wiem....czego pan żądasz....nie ruszę się z tego miejsca, dopóki mój ojciec nie wróci.

— *Bon*, powie młody Ascher, dobywając złoto-
tego repetjera który na bogatym łańcuchu wisiał, zgadzam się na to, chociaż nie bardzo ładnie z jej strony, tyle ceremonji robić z swoim narzeczonym. Ale prawda, jesteśmy w Niemczech, to nudny kraj; bodaj to w Paryżu, o *mon dieu!* tam wcale co innego.

— Czemużes więc pan nie został w Paryżu, zapyta Rozynka sposobem wymówki.

— *Mon dieu!* mój ojciec mię odwiedził, gdyż jak on utrzymuje pobyt mój w stolicy *du monde*, za wiele kosztował.

— To niesłusznie ze strony ojca pańskiego.

— Bynajmniej, rzecze młody Ascher zalotnie, dziękuję mu owszem *de tout mon coeur*, albo

wiem wiedział on, że tu znajdę aniołka pod którego skrzydełkami spocznę rokosznie.

Rozyna odwróciła się obojętnie, a Ascher dalej mówił: to jedno tylko może mnie pogodzić z tym dziwnym krajem, wszelako od wytkłem już od niego, naprzykład nie mogę nic takiego nosić co by tutaj było zrobione. Przypatrz się panna; te buty, to czyste kłoce, noga jest w nich uwięziona i jak niezgrabnie wygląda, aż rozpacz bierze. Czy mogę usiąść?

— Niestety, nie ma tu żadnego krzeselka, odpowie Rozyna pomieszana.

— Muszę siedzieć na przeciwko panny, mówił dalej patetycznie, muszę się wpatrywać w jej piękne oczko, a tak prędkiej zapomnę o mojem zmartwieniu, dla tego ta beczka niech mi służy za tron, z którego mógłbym w momencie rzucić się do nóg pannie. *Vraiment!* zawołaśmiejąc się i patrząc na beczkę od śledzi, na której miał chęć usiądz, to okropny pomysł chcieć tu siedzieć, jedynie tylko piękny widok może go osłodzić. Héj! młodzieńcze, dodał mierzając góry Karola, weź no czego i zetrzój mi czysto siedzenie.

Promień gniewu przebiegł po twarzy młodego Wenera, tak, że Rozynka myślała, że niebawem małego eleganta spotka jaka nieprzyjemność, jednakże gniew ten ustąpił dawniej wesołości, i Karol, usłużnie starszy ścierką do śledziowej beczki, i zaprosił swego rywala iżby zajął siedzenie na obranym przez siebie tronie.

— Teraz kochana Rozynko, rzeknie Ascher, pozwól, że cię tak nazywam, spodziewam się bowiem, że ten młody człowiek wie zapewne, że ci jestem przyobiecany; teraz opiszę ci w krótkości nasze przyszłe szczęśliwe pożycie.

— Bardzo proszę pana, dać temu pokój, zawoła zgniewem Rozyna, nigdy nie chcę kosztować tego szczęścia.

— Co? krzyknie Ascher i skoczy z beczki; eh! żartujesz mała psotnico, znam ja się na tych figielkach, one są zachwycające, czarujące, boskie, *admirable*, przewybornie do twarzy to dąbanie. Ale *au nom de Dieu!* musisz mię posłuchać. Ujął z tyłu rękoma za brzeg beczki, chcąc na niej usiąść, ale Karol wprzód po cichu odsunął doo na bok, a nasz fanfaron z krzykiem przerażenia, niespodziewanie wpadł w słońce.

śledziową głębię, grzebiąc się nogami napróżno, żeby się na wierzch wydostać. Tymczasem Karol, usiłujący niby nieść mu ratunek, wywrócił jakby przypadkiem kubek z wodą, w którym świ-dry do masła stały na półce nad beczką, a po-wódz tłustej wody jak katarakta Niagary, spły-nęła na nieszczęśliwego Aschera, który hanie-bnie zlany, i duszący się zapachem ostrym śle-dzi, miłosiernie ratunku wołał.

Gniew Rozyny, na ten widok, zmienił się na-przód w przestrah i litość, ale gdy zobaczyła biednego topielca, wydobytego z beczki za po-mocą Karola, ogarnął ją pusty niepowściągnięty śmiech, co pan Ascher bardzo źle przyjął.

— Jak uważam, wszystko tu dąży do tego że-by mnie srogo obrazić, zawoła z gniewem i wsty-dem, a pan, śmiesz ze mnie tak gminnym spo-sobem żartować, jesteś bezwstydnym, nie ujdzie cię zasłużona kara.

— Szanowny panie, odpowie czeladnik nie-mogąc wstrzymać się od śmiechu; pan sam so-bie winien. Najmniej pół kopy śledzi pogniodeś i popsuleś, muszę pana szkoda? porachować. Sztuka po dwa dytki, czyni dwie talary.

— Dwadzieścia policzków możesz otrzymać, wzasnął Ascher z wściekłością, porywając za swoją trzcinę.

— Mości panie! tego mi drugi raz bezkarnie nie powiesz. Mówiąc to skoczył do narzeczonego, ale ten nie dopuścił do ostateczności. Pomarkował on, jak człowiek rozumny, że z mężczyzną atletycznej budowy ciała, jaką miał Karol, nie należało boju rozpoczynać; zatem z nadzwyczajną szybkością przeskoczył przez stół sklepowy, porwał za kapelusz, skoczył do drzwi, i z progu zaczął rzucać na Karola potok obelg. Ty niegodziwcze, hultaju, poczekaj, odpokutujesz mi jak Bóg na niebie. Karol skoczył za nim, ale ten korzystając z pory, jednym susem już był na ulicy, a mrok zapadający nie dozwolił nikomu dostrzedz niepoczesny stan jego ubioru i pomieszanie w jakim zostawał.

Wszystko na świecie ulega zmianie. Po radości smutek, po smutku znów radość następuje. Z ostatnim susem Aschera, śmiech odbiegł Różynkę, i przedstawiła się jej oczom obawaskutków. Pierś jej wzdęła się gwałtownie, oko napełniło się łzami, ręce załamata, i z wzrastającą boleścią patrzyła na Karola.

-- Na miłość Boską, zawoła, co teraz będzie? mój ojciec musi się koniecznie dowiedzieć; co on z nami zrobi?

— To najpewniéj, że mnie z domu wypędzi, odpowie Karol spokojnie; na to jestem już przygotowany. Jak bądź, ja tu na żaden sposób dłużej zostawać nie mogłem; jednak sądzę, że łaźnia w śledziowej beczce, ostudziła nieco namiętność małego adonisa.

-- Ale ja, co ja pocznę, rzecze Rozynka, jeżeli nasporzucisz.

— Alboż się nie kochamy? zawoła Karol biorąc ją za rękę, czyśmy sobie niepoprzysięgli wierność do grobu? Będę szukał szczęścia które ode mnie stroni. Natoczyłem się czegoś, znajdę skromny kawałek chleba, i nakoniec osiągnę najpiękniejszy cel moich życzeń. Nim to nastąpi będę blisko ciebie; wynajdę sposoby widywania się i pomówienia czasem; tak najdroższa Rozyno, jestem przekonany, że osiągniemy nagrodę naszej stałości, bylebyśmy odważnie wytrwali.

Ścisnął ją czule, a ona uśmiechnęła się mając oczy jeszcze łzami zasłane, gdy wtem nagle zjawił się Lebermann, z kapeluszem na oczu uaci-

śniętym, którego gniew i wściekłość powlekła twarz zwykle bladą, ogaistym rumieńcem.

— Figle, psoty, zawołał z złością, przykładając pięść aż pod sam nos Karola, przekłete żarty, córkę bałanucić, narzeczonego, czleka zanego, do śledziowej beczki pakować, blaźństwa, i tu w moich oczach pieścić się! ... czy już tak daleko zaszło? ha, ha, ha, — Niegodziwa dziewczyno, precz — żebym cię więcej nie widział. • musisz pójść za niego, albo... i kenec.

— Najušochańszy ojcze, pozwól mi ci opowiem, zawoła Rozyna płacząc.

— Posłuchaj mnie pan tylko, szanowny panie Lebermann, powie Karol.

— Nie chcę, nie chcę wiedzieć, wrzeszczał stary tupając nogami i trzcina. Precz, do twojej izby, płacz, wiele chcesz, nie nie pomoże, jutro zaręczyny, wesele, ha ha, ha, — precz, mówię, bo.... i w tém podniosła swoją łaskę, która mogłaby i na piękną grzeźnicę nie żartem spadła, gdyby był Karol nagle nie przyskoczył.

— Na miłość Boską, zawoła, nie bądź tak zbyt porywczym. — Ten krok zwrócił na niego cały gniew Lebermanna.

Ty, ty, niegodziwco, uwodzicielu, wypędzę, natychmiast wygnam z domu, tak, teraz zaraz

w ten moment precz hę, hę, hę, — Wyplacę zaraz zasługi, ale tej minuty precz z domu. Musisz, polieji zawołam..... i koniec.

— Czyń pan co mu się podoba, odpowie Karol spokojnie, opuszczę ten dom dobrowolnie, taki był nawet mój zamiar. Ale jak złoczyńcą, w nocy, wyrzucić się nie pozwolę, jutro za dnia odejdę, ani momentem prędzej się nie ruszę.

Po niezachwianym tonie młodzieńca pomiarował Lebermann, że ten nie odstąpi od swego postanowienia. — Nie chcesz więc, zawoła z goryczą, dobrze, niechże będzie i jutro, ale tu już nie masz do roboty, nie chcę cię więcej widzieć, możesz sobie pójść do twojej stacji, a jutro rano, precz! — Fagle, zięciem mu się zeebcało zostać, ho, ho, ho, młodzik, 23 lat, dzieciak, bez widoków. Nędzarzu, chcesz mieć żonę, a czém ją będziesz żywił? Powiadam ci, że Rozyna będzie żoną P. Aschera za cztery tygodnie, a twoją nigdy, wolalbym raczej kark skręcić... i koniec.

— Wycieńczony do ostatka, obtarł Lebermann z czoła obfity pot, i rzucił się na krzesło

Karol chciał mu już gorzko odpowiedzieć, ale w czas się spostrzegł, że tém dalby sposobność do odnowienia sprzeczki, któraby rzeczy nie nie pomogła. Przeto odwrócił się nie nie mówiąc i po spruchniałych schodach poszedł do swojej stancyjki. Przechodząc jednakże koło kuchni, zobaczył pulchniutką rączkę wyciągniętą we drzwiach, i słodki drżący głosik zawołał go po imieniu.

— Wielki Boże, to ty luba Rozynko! Już po wszystkiém, niebo niech nas wspiera.

— Bywaj zdrów, drogi przyjacielu, rzecze ona łkając, bywaj zdrów na zawsze. Ah nie masz wyrazu na opisanie mojego nieszczęścia,

— Dotrzyмай mi statecznie przysięgi Rozynko!...nie, nie mogę się ztąd oddalić, póki jeszcze raz z tobą się nie zobaczę i nie pogadam,

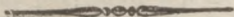
— Jakże to zrobić? zapyta bojaźliwie,

— Dzisiajśzój nocy, między 12 a 1, szepnął Karol, przesun się lekko na górę; księżyc świeci, będę na ciebie czekał na schodach. Ah! tylko ten jeden raz nie odmawiaj mojej prośbie.

— A jak się ojciec obudzi, on sypia za przepierzeniem z desek.

— Nie bój się, on się pewno nie obudzi, zaręczam ci, a potem, czyż przez to bardziej będziemy nieszczęśliwemi?

— Uciekaj, uciekaj, zawoła Rozyna, mój ojciec nadchodzi, już przyjdę, niech się stanie co bądź. — Szybko przymknęła drzwi, a Karol jak błyskawica przebiegł po schodach do swojego mieszkania.



ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Śmierć, szczęście i zakończenie.

Pogrążony w smutnych rozmyślaniach, rzucił się Karol w swojej izdebce, na drewniany stół, założywszy ręce i nogi na krzyż. W takim stanie, wzdychając, zostawał kilka godzin, wktó

rych dusza jego kolysała się między troskami; przeciwności i słodką nadzieją przyszłości. Nakoniec skrzesał ognia, ułożył porządnie w domoczku swoje rzeczy, a kiedy przeciągał łańcuszek i domok zapinał, stanęła mu dopiero na myśli cała przykrość jego obecnego położenia. Czego się miał chwycić? ubogi, bez sposobu, bez widoków żadnych, jak się tu obrócić na świecie? Ubóstwo! ubóstwo! klątwa ta paliła jego pierś przytłoczoną; a jego matka stara, siostra biedna, czyliż napowrót, on, w sile wieku będący, miał szukać przytulku u jeszcze biedniejszych od siebie? Opisywać jego kłopot, troski, boleść i wyrzuty jakie sobie czynił, niemniej męczarnie jakie ponosił,....rzecz trudna.

Posepna rozpacz ogarnęła go, dziki pożar przebiegł po wszystkich jego żyłach, obiema rękami uchwycił się za serce, które gwałtownie biło....pragnął śmierci.

— Śmierć! zawoła, częstokroć trudniej jest żyć, jak umierać....gdyby ona chciała, gdyby tak jak ja pragnęła!....Zgon, pocieszyciel wszelkich trosków, mógłby połączyć wiecznie tych, którzy razem żyć nie mogli!....

Nagle zerwał się Karol ze stołka i przystąpił do okienka, przez którego zaśnieżone szyby ledwo przebijało się światło wschodzącego księżyca! — Umrzeć, wielki Boże! ale jak? ..czyż ja mam być jej mordercą? ...Boże miłosierdzia! zachowaj mnie od tej zapamiętałości... Nie, lepiej wyrzec się wszystkiego, na zawsze, niżeli czyn haniebnym spełnić!...

W konwulsyjnym drżeniu, usiadł znowu, oparł głowę na dłoniach, a marzenia ogniste przesunęły się przed jego zamkniętymi oczami. Nakońiec duża łza spłynęła mu po liściach, a wilgotne oczy wlepiły się w gwiazdzisty firmament, jakby wzywał pomocy nieba.

— Boże! tobie poruczam moje losy, nie trapij mnie żadnego środka, ale też nie chcę zupełnie tracić nadziei. Ah! jakże ciężko spuszczać się na niebo, wtenczas kiedyśmy stracili wszelką nadzieję pomysłnego końca.

Wśród podobnych rozmyślań, usłyszał nareszcie Karol uderzenie północy, a dusza jego zaczęła na nowo doświadczać bojaźliwych uczuć. Drżącą ręką zgasił światło, po cichu otworzył drzwi i wjrzał przystuchając się. Głębokie milczenie panowało w całym domu, księżyc

rozstaczał błędne swoje światło, a lekki chód kotki, która na się właśnie koło nóg przesunęła, wprowadził go w drzenie. W takim położeniu czekał jeszcze z godzinę, a bojaźń rosła w sercu za każdą minutą. — Przyjdzie też ona? czy ją jeszcze zobaczę? będę jej mógł powiedzieć, żeby z zupełną ufnością żywiła nadzieję iż wiecznie z sobą będziemy połączeni? Nie, nie, ona nie może, nie chce, ona zapomni o mnie! a ja, ja! szalony! ja biedny, bez majątku, mamże liczyć na miłość i wierność?

— Oparł o ścianę palającą głowę, słuchał dalej, lecz napróżno, a poprzednia rozpacz na nowo go ogarnęła. „Życ! zawoła wobląkaniti, i po cóż mam żyć, chcę umrzeć, niech potem ciało moje świat cały i ona potępi, gdyż wszyscy mnie odepchnęli!...“

W tej chwili usłyszał na dole lekkie skrzypnięcie drzwi, ciche, bardzo ciche stapanie po schodach, a troski rozpacz i śmierć znikły. Miłość, katecista miłość przebijająca ścienne ciemności rozlewała nowy płomień życia po wszystkich jego żyłach. W jednej minucie, Rozyna drżąca, blada lecz pełna błogich uczuć spo-

czywała w jego objęciach! o boska miłości! ty pokonasz bojaźń, wstyd, przestrasz, a nawet śmierć samą!...

Dopiero po długiej pauzie, w której w obopólnych objęciach, serca obadwa tuż przy sobie bily, a usta w słodkiem spojeniu zostawały, nastąpiła mowa i płacz.

Wśród łkania powiedziała Roczyna, że stary, nielitościwy ojciec, zapowiedział jej że musi pojąć za męża Aschera, chociażby ją miał za włosy do kościoła ciągnąć.

— Na to są prawa, powie Karol, ale ty Roczynko cóżes mu odpowiedziała.

— Prosiłam, błagałam, chciałam mu się do nóg rzucić! o... odepchnął mnie i zagroził przekleństwem; wtenczas...

— Wtenczas pewnie obiecałaś przyjąć naznaczonego ci małżonka, przerwie Karol wzruszony.

— Przyrzekłam poddać się jego woli, odpowie cicho i ze drżeniem; sprawiedliwy Boże, miałem czekać aż mnie ojciec przeklnie?

— Nie, rzecze Karol, bynajmniej! uczyniłaś jak należało; choćby mi serce pękło, muszę się wyrzec ciebie.

Tylko nadzieja, nadzieja, rzeknie Rozyna wzdychając głęboko; ja to uczyniłam jedynie dla zyskania na czasie. Dopiero za sześć miesięcy ma być ślub, a przez ten czas wiele to się odmienić może?

— Dla nieszczęśliwego nie masz nigdy odmiany, odpowie Karol łagodnie, nie dla niego czas, przeto pozwól Rozyno. pożegnajmy się na zawsze!

Obiał ją serdecznie i okrył gorącymi pocałowaniem, a mając oczy rozplywające się we łzach, chciał nagle cofnąć się do swojej izdebki, gdy wtém głuchy łoskot dołu dał się słyszeć, poczem jakby coś ciężkiego upadło, łamało się, waliło, tak że całe domostwo zadrżało. Z krzykiem przestachu rzuciła się Rozyna w objęcia Karola.

— Boże wielki! dom się zawalił! woła Karol wciągając ją do swojej izdebki.... — Znowu ucichło i tylko wrzaskliwy głos staréjsłużącój dał się ze dworu słyszeć.

W największém przelęknięciu skrzesał Karol ognia, i pobiegł z Rozynką do staréj, która na

całe gardło krzychała: „Złodzieje, zbójcy, ogień! Karol skoczył za nią, wyłamał drzwi i nagle odskoczył, gdyż gęsta kurzawa i kupagruzów groziła mu zasypaniem.

Jednym rzutem oka, przejrzał co się stało. Spruchniały półap razem z przegniłym wiązaniem dachu zawalił się, i starego skapca; nałożku tuż przy jego bożyszczu, żelaznej skrzyni zabił.

— Boże miłosierny! krzychała stara służa, wszystko zabite, stary jegamość zabity, moja piękna, kochana Rozyna zabita!..

— Zabity! zawoła Rozyna przybiegając! O mój ojczu, mój nieszczęśliwy ojczu!...

Duża belka zgruchotała mu kark i piersi, zbrzyzgany krwią, leżał trup starego nieugiętego człowieka okropnie, zeszcpecony.

Stróż nocny i sąsiedzi zaczęli tymczasem wybijać do dworku, i wkrótce przybyło mnóstwo ratujących, a nazajutrz pół ulicy ciekawych zbiegło się zewsząd.

Rozyna, jak przykładna córka, oplakiwała swojego ojca, ale w gruncie serca, żywiła dzięk-

czynienie dla dobrotliwego Boga, za ocalenie jej przyszłej pomysłności. Opiekun, jakiego jej wyznaczono, był człowiekiem ludzkim, przyjacielskim, któremu niebawem zwierzyła się z swoją miłością, i który chętnie dał swoje przyzwolenie, a panu Aseher, który na nowo wystąpił z dawnymi swemi prawami, dał krótką ale stanowczą odprawę. Po wyjściu ośmiu miesięcy, Rozyna połączoną została z młodym Karolem Wernerem.

— Teraz jesteś moją na zawsze, rzecze do niej wieczorem kiedy byli sami, i objął ją czule rękoma. Nigdy nie przestanę z ufnością, wierzyć w opatrność, i nigdy w życiu nie będę żądał nocnej schadzki na schodach.

— Niewdzięczny, szepnie Rozyna rumieniąc się, alboż mi to życia nie ocałiło?

— Z wdzięcznością uznaję w tém moje szczęście, odpowie Karol, ale ja myślałem, że na przyszłość, możemy to czynić z łatwością bez wszelkich zachodów.

Powiadają, że owego wieczora na tych słowach skończyła się rozmowa, co do mnie, dodać tylko jeszcze znajduję potrzebę, że w niej-

scu starego zielonego dworku, stoi dzisiaj piękny nowy i duży dom, w którym Karol znakomity handel prowadzi. Żyje szczęśliwie i spokojnie, ma ładnego synka, a pani konsyljarzowa Robertson, poszła w rok później za radcę i teraz często bywa u dawnego swojego lektora z którym się zupełnie pogodziła.

POCIECHY BALOWE

MAŁŻONKA.

(przez Langer.)

.....Jeni krzyknęła przeraźliwie i padła przy drzwiach. Wął wsunął się aż na brzeg okna, i podczas gdy połowa jego jeszcze była między kwiatami, on wyrzucił jad z paszczy swój na Je-

ni — przybliżył się i słychać tylko było ciche, głuche sykanie.“

Przestałem na chwilę czytać i mówiłem z niechęcią. Prawdziwie, Francuzi chcąc być interesującemi, muszą rzecz malować tak okropnemi kolorami. Nie pojmuję, jak jeden z najucywilizowańszych narodów, może polubić takie okrucieństwa?

Nie mi na to nie odpowiadano. Małżonka moja siedziała jak zazwyczaj przy oknie zeswoją robotką, a ja siedząc na sofie czytywałem książki głośno, aby spędzić długie zimowe wieczory na wsi, choć cokolwiek przyjemnie. Amelia zapewne tak była wzruszoną przeznaczeniem meszczęśliwém Jeani, że z czułości słowa jednego wy dobyć nie mogła. Ja szanowałem jej skromne milczenie i na nowo zacząłem czytać: „Obwinał się z niepojętą prędkością na około Jenni—biedne dziecko, zemdląca. Śliskie czoło węza położyło się na szyi młodej dziewczyny, a żądo jego zagłębiło się w jej piersiach. Przez nadzwyczajny ból wróciła do życia i ujrzała tylko skrawioną głowę węza i jej ogniste oczy, matko! ah kochana matko! wołała unierającym głosem.“ Wtém, słyszę jak Amelia w tak

okropnej scenie przewraca w papierach, i wstrzy-
małem czytanie — Ameljo, ty nie uważasz? — Ja
wszystko słyszę, o wężu w raju. — Tak, biedna
Jeni, będąc blisko spełnienia swych życzeń je-
dytych, otoczona najszcześniejszymi myślami i na-
dzieją, tak skończyć musiała. Znów czytałem
dalej, „Otworzymy, bo nareszcie ten przestrach
wielki, mógłby jej szkodzić, mówił dobroduszny
Will do żony Teodory i chciał drzwi otworzyć
lecz nieżywa jego córka leżała na progu, wi-
dzieli więc swą córkę nieżywą na ziemi, i w tej
chwili wąż przez okno uciekł.“

Zamilkłem, ta okropność rzeczy za mało była
posuniętą i Ameljo milczała, położyłem na bok
książkę i po cichu przybliżyłem się do okna
z przedsięwzięciem mocułem już nigdy nie czytać
modnych ksiązek francuzkich. Byłem pewien
że znajdę żonę moją, we łzach nad losem bie-
dnej Jeni, kiedy z niemalém zadziwieniem wi-
dząc ją zatopioną w żurnalu mód, wpatrując się
w damy wystawiające kostiumy balowe. —

— Ameljo cóż to znaczy? zapytałem się na w pół
złośliwie.

Ah! jacyż to ci mężczyźni! uśmiechając się rzekła. Umieją uazwać każdy kwiatek, każdy kamień jest im znany, na palcach wyrachują kiedy mędry Greccy wymarli, lub kiedy jaka bitwa była wygraną, ale nigdy sami nie wiedzą w jakim czasie żyją. Dowiedz że się kochany Augustie, że karnawał już przededrzwiami.

O kobiety! które dla stroju zapominacie o świecie, o wszystkiem co was otacza! odrzekłem jeszcze obraźliwie,

— I cóż z tego? wy rządźcie krajem w kawiarniach, my gadamy o opinji publicznej przy herbacie, wy tworzyćcie systemy filozoficzne od dziś do jutra, my układamy mody które także tak długo trwają; wy nadajecie nowe imię nowo wynalezionej roślinie, my, nowemu kapeluszwowi, wy często nie wiecie której partji w polityce trzymać się macie, my niepewne czy mamy się zdecydować na długie lub krótkie rękawki; czy to prawie nie na jedno wszystko wychodzi?

— Więc już wybrałaś strój białowy? zapytałem się, aby mądrą żonkę na inne myśli skierować.

Ze mną tak jest jak z waszemi politycznemi zdaniem, ten strój jest mi za liberalny, ten za

jednostajny; odrzekła śmiejąc ironicznie, dla tego się zdecydowałam moją petycję przedstawić parlamentowi, na wieczór zgromadzą się wszyscy parowie mód i przy filiżance herbaty wyrok będzie wydany. Przytém jeszcze jest tyle do gadania, radzenia, jak ma być ubrana głowa, czy włoskach, czy à la Chinoise i tysiące ważnych drobnostek, które muszą być roztrząsane; lekam się dla tego mój Augustcie, że dzisiejszy wieczór nie mógłby cię zabawić i że tyle by cię te narady obcodziły, jak mnie referat jaki, którego słuchaćby musiała. Może obiecałeś być gdzie na wieczór, toby było bardzo ładnie; mówiąc to, skacząc i śpiewając galopadę Strausza wyszła z pokoju.

Wieczór się zbliżył, i parlament kobiecy zeszedł się z wszystkich stron świata. Pani kommissarzowa, p. kassjerowa, p. dzierżawczyni p. doktorowa, p. pocztmistrzowa, p. radczyni która na dworze mieszkała, i wiele innych, spieszły, pieszo i w powozach do mego domu, już w korytarzu i na schodach zaczęły się zdania i narady. Ja uciekłem tylnymi drzwiami i zgniewem udałem się do pocztmistrza któremu już dawno byłem winien odwiedziny, ten zaraz zaprosił mnie do

pikiety. Ja dzisiejszy wieczór uważałem już za-
stracony, bo zwyczajnie po dziennych zatrud-
nieniach wracałem wieczorem do pokoju A-
melji, i tam przy kominku, mile nam czas ze-
szedł, nad czytaniem, rozmową, lub muzyką;
niekiedy północ wybiła i my nie wiedzieliśmy gdzie
czas się podział, lecz dziś nie mogłem ani je-
dnej szczęśliwej godziny, wpisać do méj dzien-
nej książki. Dzisiejszy dzień był ubogi w ros-
kosze domowe. Dobry pocatmistrz który nie
był najslawniejszym graczem, nie mało się
zdziwił, iż każdą partję wygrał, a ja nie my-
śląc że gram, odrzucałem co mi przyszło do
ręki; byłem bardzo roztargniony. Wróciłem nie
swój do domu, i słyszałem z przestachem, że
w pokoju hawialnym jeszcze jest głośno i że
posiedzenia szanowne jeszcze się nie skończyły.
„Ma trés chère,—usłuchaj mojej rady, kup Sa-
tins Fontagnes na suknią, ugarniruj koronkami,
to będzie skromnie ale noble! piszczała stara
Fadczyńni. Nie, nie, moja kochana, jeżeli zamyślasz
tańczyć, to szkoda wielka koronek, bo nasza
młodzież nie bardzo uważnie obchodzi się z na-
mi w tańcu, ja myślę każ lepiej zrobić walecz-
ki z różowego atlasu, to będzie stosowniej, wy-

jąkała pani doktorowa. Jeżeli suknia będzie z gazy d'Alger, to musi być obszyta girlandami z kwiatów, inny głos się odezwał. Zatkłem uszy i pospieszyłem do pokoju jadalnego. Stół był nakryty — zegar wskazywał zwyczajny czas do wieczery, lecz dziś śpieszył się za nadto, wziąłem książkę do ręki, lecz zamiast liter, gaza Algierska była mi przed oczyma — porwałem gazetę, lecz i tam widziałem same pochwały i nadzieje, o nadchodzącym karnawale. Rzuciłem ją i stanąłem przed kominkiem, lecz i tu zdawało mi się, że widzę w płomieniach, tańczących galopadę. Zegar wybił 10, na palcach zbliżyłem się do sali konferencyjnej, słuchając czy kobiety jeszcze nie skończyły rozpraw; lecz na moje nieszczęście były w największym kłopotcie, bo najważniejsza rzecz miała być rostrzygniętą.

— Pióra! pióra, i cóż może być stósowniejsze do ubioru balowego; odezwał się głos dyktatorski pani kommissarzowej, tak zupełnie jak jej małżonek i pan, kiedy chłopom rozkazy wydaje. — Ty!ko to nie, moja sąsiadko, rzekła pani poczmistrzowa, nie byłoby ci w nich do twarzy

kwiaty tak będą ładnie wyglądały. — Tak, girlanda z kwiatów ma chére, to najlepšíj.

— Pióra! pióra! — krzyczała jedua — kwiaty! kwiaty! druga połowa. Ja uciekłem znouu. Przyniesiono mi kolację. Pierwszy raz od mego ożenienia sam jadłem, straciłem zupełnie chęć do jedzenia, byłem zwyczajny po kolacji, opowiadać co zaszło całego dnia, o tém lub owém zagadać, a dziś krzesło próżne na mnie się patrzyło. Moja fantazja, tak była natężoną, że co chwila przedstawiała mi coś innego, i tak, zdawało mi się, że Amelja leży chora, że słyszę jej jęki, ale w tém upamiętałem się, śmiałem się z siebie, słysząc przytém głosy rozprawiających kobiet, znudzonemu i zmartwionemu morfeusz przyszedł na pomoc i zasnąłem. Ledwie godzinę spałem zegar wybił 12 w tém słyszeć się dały głosy przeraźliwe na schodach i kurytarzu — Maryniu gdzie jesteś? Antosiu podaj mi moją sallowę. Jakóbie zajeżdżaj. A wsiadając jeszcze się odzywał piskliwy głos: „Usłuchaj mojej rady ma chére, i bierz pióra!

— Kwiaty weź Ameljo, zaklinam cię na naszą przyjaźń—kwiaty! kwiaty!—echo się odezwało. Ja koldrę ściągawszy na głowę zacząłem już

złorzeczyć i zatkałem uszy, aby nie nie słyszeć. Na drugi dzień dowiedziałem się dopiero że byłoby jeszcze nie rozeszło się towarzystwo, lecz pan pocztmistrz przysłał po żonę aby natychmiast wróciła i ta rozerwała wszystko. I cóż był za rezultat z tak długiej konferencji, nie zgodzily się jak głowa miała być ubraną, co do sukni każda na inną się zdecydowała, moja żona była tak zamartwioną jak wprzód. Uciechy balowe zawróciły jej głowę, chciała jeść przy obiedzie, lecz z westchnieniem położyła widelec i zadała sobie pytanie: kwiaty, lub nie kwiaty? a w nocy będąc niespokojną zasnąć nie mogła.

Moje szczęśliwa wieczory zimowe znikły. Dziś jejność pojechała do miasta, aby wybrać sobie na suknię, i wróciła wieczorem smutną i zgryzioną bo najładniejszych materji już nie było. Nazajutrz miała tajemną naradę z krawcem, potem zamówiła fryzera, nareszcie przyszła panna do szycia której już nie odstąpiła na chwilę, aby co nie popsula, jedném słowem, mogłem znowu zacząć żyć po kawalersku. Przy śniadaniu, żona moja, żurnale i doniesienia balowe prawie oczami polykała, bo pocztmistrzowa która je najwprzód dostała, przysłała je zaraz mojej żonie, i jeszcze naznaczyła

każdą figurę która jęj się zdawała być interesującą. W obiad naradziliśmy się naktóry właśnie bal pójdziemy, nareszcie już oznaczony był dzień i wybrany bal.

Od chwili jak był dzień bała wyznaczony, byłem już s pokojniejszy, i co chwila rachowałem w kalendarzu od którego dnia spokojuśc i porządek w domu wróci. Leez jeszcze nie był koniec mych cierpień jeszcze nie wypilem do dna kielicha goryczy, i mnie wzięli pod swoją opiekę, gdyż mówili że obywatele w mieście dali sobie słowo, że ten bal miał być tak świetny, że nie nie miało mu wyrównać, i z tęg przyczyny wszyscy mieli się znajdować w najświetszém ubraniu. Moje przeszłoroczne nowe ubranie, nie było już dość świeże, mówiła mi żona, musiałem się więc udać do antichambra pana Guakell krawca najpierwszego i ten szanowny człowiek. miał mnie przeistoczyć w moźaisia. Przymerzył mi więc frak bronzowy, spodnie białe, kamizelkę różową krawatkę à la Constantine, płaszcz a la Carispia, dosyć, że żona moja w radości padła mi na szyję, zapewniając, że wyglądam jak Apollo, a ja patrząc w lustro, skromniejsze poprzerzenia czynilem, bom wyglądał jak głupiec!

Między tysiącem przygotowań zbliżył się nake-
niec dzień balowy. Szósta rano wybiła, kiedy
się obudził, lampa nocna jasno się paliła, i wtem
spostregłem z zadziwieniem, że mój żony w po-
koju nie ma. Cóż tu nadzwyczajnego musiało
się stać, kiedy Amelja przed ósmą wstała. Porwa-
łem się i pociągnąłem za dzwonek kilka razy
aż nareszcie pokojowa pomalu nadchodzi, i pyta się
co żądam. Gdzież moja żona, odzywam się, a
pokojowa odpowiada, że od w pół do szóstej pan
Jan, fryzer, już się znajduje u pani, i właśnie
ubiera jej głowę. Któż więc może jeszcze wą-
pić że kobiety w niektórych przypadkach mają
prawdziwie anielską cierpliwość. Wszedłszy do
pokoju toaletowego, widzę jak fryzer wychodzi
spiesznie, biegnąc czem prędzej do miasta, bo do
wieczora miał jeszcze do ubrania 99 głów. A-
melja wyszła naprzeciw mnie lecz jakże dziwnie
wyglądała w ubraniu rannem, a głowa ubrana
w kwiaty. To tak mnie rozśmieszyło, że
nie mogłem jej jak zazwyczaj powiedzieć dzień
dobry i cały dzień była na pół damą pół go-
spodynią.

Zaraz po obiedzie który się tak prędko jak tylko można było skończył, zeszło się całe szanowne sąsiedztwo, aby być przy ubraniu méj żony.

Wszelkie potrzebne kawalki do ubrania, były teraz kolejno oglądane i każda do lustra się przybliżyła, aby przymierzyć czy to lub to do twarzy, niemożły się dość pochwalić krawca i marchande des modes. Ja już dawno byłem ubrany, leżało już wszystko jak ulane, ale byłem jak zasznurowany i nie mogłem dobrze oddychać bojąc się aby co nie popękało; już więcéj jak milę uszedłem po pokoju, konie niecierpliwiły się stojąc na zimnie, aż nareszcie drzwi podwójne raptem się otworzyły i pozwolono mi wniknąć do pokoju aby się przypatrzeć gustownemu ubiórowi méj kochanej żony, która wyglądała jak chińska latarnia w kolorach tęczy, pół godziny potrwalo nim Amelja wygodnie usiadła w powozie, aby nie pognieść i nie uszkodzić, tak jak Trojańczycy, swe mury przebili aby tajemniczego konia wprowadzić, tak i tu powinni byli drzwi podwójne zrobić aby kosztowny balowy ubiór nie był uszkodzony, wcisnąłem się jak tylko mogłem w samym końcu, aby tylko mojej żonie co nie pognieść i z życzeniami najżywszemi odwyprowadzonych nas sąsiadek i służących udaliśmy

się do miasta. Amelja nie odważyła się nawet zagadać, siedziała jak hiszpańska dama honorowa za czasów Filipa 2go, aby tylko nie sobie nie pognieść, a przy najmniejszym pochyleniu się Powozu, krzyczała przeraźliwie; nie z obawy narażenia swój osoby, lecz szło o marabut i kwiaty, nareszcie wjechaliśmy w ulicę gdzie miał być bal, i właśnie chciałem łajać stangreta, że tak powoli jedzie, kiedy wyglądając przestraszyłem się widząc szereg powozów przedemną, krok za krokiem trzeba było ruszyć dalej. Jak się nudziłem siedząc tak długo w powozie, każdy sobie wystawić może; tysiączne myśli snuły mi się przed oczami, a Amelja zajęta swym strojem i nadzieją bawienia się dobrze, także słówka nie przemówiła, tak więc, będąc zupełnie dla siebie przez kilka godzin obojętnemi, stanęliśmy na miejscu upragnioném. Powóz stanął, drzwiczki się otworzyły, a ja rzuciłem się z żoną na schody. Żądano biletów, a ja roztargniony zostałem je na biurku mojem. Nie chciano nas wpuścić bo wcale mnie nikt nie znał, i już widzimy jak koło nas pióra i kwiaty się snują, a my za drzwiami stać musimy. Na szczęście przeszedł koło nas jeden pan, któremu niedawnemi czasy także się przysłużyłem, on poznawszy mię kazał nas wpu-

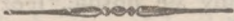
ścić bo był jedynym z członków tego balu. Wchodząc, widok był czarujący, właśnie tańczono kotiljona, kilkadziesiąt par było w ruchu, sala ubrana prześlicznie, wszyscy byli weseli i ukontentowani, prócz tych twarzyczek które nie tańczyły, ale za to miały sposobność i czas robić różne postrzerzenia i przymówki. Amelja jeszcze przechodząc koło zwierciadła stanęła aby cokolwiek poprawić swoje ubranie, i właśnie kończyła, kiedy orkiestra zaczęła grać Strausa paryzką galopadę. Zupragnieniem oglądałem się na wszystkie strony aby kto wziął do tańca moją żonę, aż nareszcie przylatuje motylek w czarnym fraku i w żółtych glansowanych rękawieczkach, i mówiąc:

— „Pani pozwoli“ porwał mi ją jak Jowisz swoją Europę. Teraz jak wiadomo Niemcy mają manję do stawiania pomników, nie pojmuję więc, że nikomu jeszcze na myśl nie przyszło wystawić pomnik wynalazcy galopady, i aby nie mieć kosztów tak wielkich na model od Tor valdsena, jego samego w ogniu ozłocić i postawić. Czy to nie była śmiała myśl, wynaleść taniec do którego ani pracy, ani nauki, ani sztuki nie potrzeba, tylko dobrych płuc, i przez który najwięcej

życia pozbyć się można? i to jeszcze uważałem, że wynalazca nie mógł z siebie samego wynaleść tak piękny taniec, tylko musiał się zapatrzeć na parę razbieganych koni, bo przyznajcie, cóż to zawidok tańczących szaloną galopadę — zmęczeni, ledwie oddychający, z twarzami rozognionemi, włosami rozpuszczonemi, ...nie szalonyż to taniec? — Monolog mój skończyłem i w tej chwili Amelja wróciła. Jako Gracja odeszła, a wróciła zmęczona i rozgrzana, wyglądała tak czerwona jak dołtór który siedział przy 100 stopniach ciepła, a fałdy w sukni, tak pięknie układane przez krawca, były wydarte, i do tego jeszcze kilka tylko plamek olejnych, zdołało tak kosztowne ubranie, dość, że to było dzieło jednej tylko galopady, i do tego jeszcze żona moja kulala trochę, bo w tak wielkim pośpiechu, nie podobna ustrzedz się udeptania. Nie podobna było poprawić zniszczonej toalety — udaliśmy się do bufetu, aby się posilić, lecz tam ani myśleć aby czego dostać można było, wracamy do sali, i kilka godzin nudząc się okropnie, przepędziliśmy nad tém, żeśmy przypatrywali się tańczącym, i przy 30 stopniach zawiął mnie wiatr z boku; miałem jeszcze nadzieję dostania na wieczną tego dnia pamiątkę, reumatyzmu lub inną

slabości. Nakoniec przerzedziło się cokolwiek, i udaliśmy się znów do sali jadalnej i tam musieliśmy się kontentować avec de beaux restes, da-
no mi gołąbka, któremu i się zdawało być bażan-
tem, a austriackie wino, koniecznie chciało być
reńskiem, lecz i to przyjąłem i zacząłem zajad-
ć. Kiedy widzę, że żonka moja z wielką zabawą za-
sypia. Kiedy nazajutrz z przychyłą małego za-
ziębienia, przy gospodarstwie (niby), żonę moją
zastełem w łóżku, a ja dostawszy reumatyzmu miałem
twarz obwiązaną, siadłem przy jej łóżku, i
powysłałem: zapewne już nigdy nie będzie mnie
namawiała aby jechać na bal—ona ścisnąwszy
mi czule rękę rzekła:

— Augustcie kochany, pamiętaj na przyszły rok
wcześnie starać się o bilety—ja się cudownie
wczoraj bawiłam.....Struchlałem!...



TOWARZYSTWO ZABEZPIECZENIA.

W bliskości Paryża, w okolicy uader malowniczej, pan L. bogaty kapitalista, posiada piękny pałacyk, w którym przepędza najprzyjemniejsze dni lata. Nie dawno kabryelet zatrzymał się

przed kratami parku, wysiadł z niego młodzieniec, którego ubiór staranny, fizjonomia otwarta, ruchy kształtne, okazują częstego gościa giełdy i Tortoniego. Nowo przybyły dzwoni, każe się oznajmić i jest wprowadzony. Pan domu niedbale w pół leży na sofie, w szlafroku w zupełnie ranném ubraniu, w pokoju ozdobionym z całym zbytkiem stolicy. Bo pan L..., niewiele czuje skłonności do słodkich moralów „Ziemiaństwa“ Delilla, lubi on przenosić Paryż na wieś, sądzi, że na wsi bardziej niż w mieście nie podobna obejść się bez rozrywek i przyjemności, które muoząc wrażenia, powiększają sferę istnienia.

— Siadaj pan, proszę, rzekł pan L..., do gościa, z tém ukontentowaniem wewnętrzném które sprawia, że zawsze chętnie widzimy na wsi mieszkańca stolicy.

— Darujesz mi pan, rzekł młody człowiek, siadając w wygodném krześle, że mieszam jego spokojność, przychodząc mówić o giełdzie i spekulacjach. Ale to co chcę panu powierzyć, jest sprawą tak ważną, skutki jój tak mogą być moralnie pożytecznemi, dla społeczeństwa, tak pie-

nieżnie korzystanemi dla przedsiębiorców, iż oświadczyłem że pan przebaczysz memu pośpiechowi i pozwolisz mi kilka chwil rozmowy.

— Mów, słucham, rzekł kapitalista zakładając jednę na drugą, połę pięknego szlafrocka.

— Któżby kiedy sądził że wychodząc z wieku wątpliwości i niepewności, jakim był wiek ostatni, wejdziemy do wieku tak znakomicie zapewniającego i *zapewnionego* jak terażniejszy. W wieku 18stym wszystko się przewracało, niszczyło, ponieważ wątpiono o wszystko; dziś, o niczem nie wątpimy, bo nie powierzamy nic przypadku. Przez zabezpieczenia, społeczeństwo nowy kształt przybiera; człowiek umiejący spekulować rządzi losem. Cóż dzisiaj nie jest zabezpieczonem? Każdy krok który czynimy w tém życiu może być zabezpieczony, a nawet śmierć. Władza zabezpieczeń rozciąga się nawet za grób zapewniając nam bowiem życie w potomności, zabezpieczając nam nagrobek z napisem imienia i czynów godnych pamięci. Ktoś nawet podał projekt zabezpieczenia przeciw przykrościom stanu małżeńskiego; byłaby to wiel-

ka przysługa dla ludzkości; inni chcieliby szczególnie u nas, zabezpieczyć ministrów. Słowem zabezpieczenie w całej swój rozciągłości i we wszystkich stopniach, zdaje mi się być rozwiązaniem zagadki całej ludzkości, którego na próżno szukali najslawniejsi socjaliści, jak Fourier, Saint Simon, Robert Owen i inni.

— Do czegoż prowadzi ta przedmowa? przerwał kapitalista głosem tak sucho metalicznym, jak brzęk stufrankowej sztuki, wrzuconej w worek.

— Chwilkę tylko; przybywam...

-- Wiesz że dla mnie trzeba coś stanowczego, istotnego, dotykającego, mówił dalej kapitalista, wymawiając te przymiotniki z coraz wyraźniejszym przyćmieniem.

— Mój projekt posiada te wszystkie przymioty.

— Dobrze więc, zatem bez żadnych wstępów powiedz mi oco idzie.

— Bo widzisz pan rzecz jest delikatna, potrzebująca przygotowań...

— Zdaje mi się że zgaduję; jest to projekt jakiegoś zabezpieczenia. Cóż tedy, chcesz pan zabezpieczyć?

— Ponieważ mam otwarcie mówić, idzie tu o zabezpieczenie młodych panien, przeciw temu co stanowi ich największe nieszczęście, to jest przeciw brakowi małżonków.

— Humm! pomysł ten jest dość dowcipny.

— Pojmujesz pan, że chęć dostania męża, skłoni wszystkie panny do zabezpieczenia się w tém towarzystwie i że przedsięwzięcie to wkrótce przyniesie piękne dochody,

— Tak sądzę, ale jakże ułożysz pan wynagrodzenia w razie przeciwnego wypadku?

— To musi być stopniowane według wdzięków, majątku, talentów, — bo nie wszystkie panny znajdują się w jednakowém położeniu względem niebezpieczeństwa pozostania niemi do śmierci. Nie wszystkie także zabezpieczane będą do jednego wieku; jedne do lat dwudziestu, drugie do dwudziestu czterech, inne do trzydziestu a nawet do trzydziestu pięciu. Jeśli po upływie oznaczonego terminu, zabezpieczona nie dostanie męża, wynagrodzenie zostanie jój zapłaconém, i często bez wątpienia będzie jój służyć za posag i ułatwi znalezienie małżonka.

— To dobrze; ale czy towarzystwo zostawia sobie prawo działania jak mu się podoba, w celu wynalezienia dla zabezpieczonej męża, przed upływem oznaczonego terminu?

— Rzecz jasna; towarzystwo nie zechce zrzekać się przywileju czynienia ludzi szczęśliwemi; będzie ono miało swoich agentów, faktorów, swatów; używać będzie wszelkich środków, któreby mogły dopomóc do wydania za mąż osób które się zechcą zabezpieczyć. Tym sposobem nigdy prawie nie będzie potrzebowało płacić wynagrodzeń. Dla tego też spekulacja ta jest wyborną!

— Istotnie, korzyści będą pewne...

— Wiele przychodu, a żadnej straty. Jest to ostateczny kres postępu spekulacji! Zabezpieczając życie, nie można ludziom zabronić umierać; towarzystwo ogniowe nie może uczynić zabudowań niepalnemi, burzom nie podobna nakazać aby oszczędzały okręty zabezpieczone, ... ale zabezpieczając małżeństwa, można wszystkich ludzi pożenić.

— Już to wypada żeby towarzystwo miało ciągle pod ręką zbiór ludzi *comme il faut*, adwokatów, doktorów, dziennikarzy, negocjantów, i

t. p., których używać będzie jak pionów, w grze o serduszka młodych zabezpieczonych.

— Jest to nieodzowuy warunek powodzenia, ale w tém zdaj się pan na moję gorliwość.

— Zgoda! przystępuję! Chciałbym żeby tarzecz przysłała do skutku między nami dwoma; bez ogłoszeń, bez akcji, to już jest zużyte, nie ma pokupu. Tajemnica, mój kochany, ostrożność i czynność! To są sposoby zyskania.

— Bądź pan spokojny, jest to równie moim jak pańskim interesem.

— A więc spisz i przynieść mi akt ustanowienia towarzystwa. Składam na początek 500.000 franków, to będzie dość na pierwszy zakład. Ty, przyrzekasz gorliwość i zajęcie się tą sprawą, korzyści będziemy dzielić,—widzisz, że szlachetnie działałam.

Młody człowiek żegna pana L..., niezmiernie zadowolony z skutku swoich odwiedzin, lekko siada do kabrioletu i wraca do Paryża. Naza jutrz, przynosi panu L... akt ustanowienia towarzystwa, ułożony podług przyjętych zasad. Przeczytawszy go i podpisawszy, pan L... oddaje go młodemu spekulantowi. i rzecze:

— Mości panie, jesteś tedy dyrektorem towarzystwa *Hymena*; życzę ci dobrego powodzenia,

aby ci dowieść ile mię obchodzi to powodzenie, wpisują zaraz na zabezpieczenie moję córkę; choć aby pierwszą była na liście panien którym się zabezpiecza znalezienie męża. Zapelnij rubryki.

— Wiek? pyta dyrektor.

— Lat dziewiętnaście.

— Imię i nazwisko.

— Eufemja L...

— Twarz.

— Dość piękna.

— Talenta?

— Muzyka, taniec, rysunek, i ogrodnictwo.

— Majątek.

— Miljon dziedzictwa, i pięćkroć sto tysięcy franków posagu.

— Wybornie!

— Sam oznaczysz wysokość wynagrodzenia i termin po którym wynagrodzenie ma być zapłacone, rzeczę papa dumnie.

— Spodziewam się, że panna Eufemja nie narazi nas na zapłatę wynagrodzenia.

Młody przedsiębiorca żegna swego nowego współnika i oddał się, przechodząc taras palacu, aby dojść do kabrioletu który stoi przed

kratami parku, postrzega młodą panienkę w białej sukni, wesoło przebiegającą z polewaczką w ręku, w pośród wazoników z kwiatami, które skrapia drobniutenki lśniący od słońca deszczyk i śpiewającą jakiś nowy romans. Pukle czarnych włosów rozrzucone lekkim wiatrem, pozwalają dostrzegać szybkę bielszą niż liże które polewa. Jój kibić giętka kołysa się jak lodyga tych kwiatów. Jest ona najpiękniejszą z tych wszystkich dzieci Flory, które napełniają ogród jój staraniom powierzony. Na ten widok, młodzieniec rzekł do siebie: „Zapewne to jest córka pana L., pierwsza zabezpieczona; oh, ułożyłem piękny interes, początek dobrze wróży. I zmiierzając do kraty, rzucił mówiące spojrzenie na piękną dziewczęcę.

Zaledwie piętnaście dni upłynęło. a pan L... opuszczał wieś, udając się do swego pałacu na Chaussée-d'Antin. Skłonił on się powrócić do Paryża, na prośby swój córki. Dziwiło go, że jego kochana Eufemja, która tak lubiła wieś i kwiaty, nagle zmieniła się i wdychała do szelicy, chociaż lato i piękne dni jeszcze nieprędko miały przeminąć. Starał się odkryć powody tej zmiany, i mówił sobie często: „Czyby Eufe-

mja przypadkiem nabrała ochoty do Paryża od czasu jak ją zabezpieczyłem w towarzystwie małżeństw?

Nakoniec, nie mógł już wątpić, że serce jego córki zajęte jest miłością; i nie wiele trzeba było przenikliwości aby to odgadnąć, bo z każdym dniem znikaly rumieńce Eufemji, przestała być wesołą i widać było, że ją niszczy słabość której nie śmie wyznać. Kwiaty, muzyka, desenie, wszystko zostało porzucone, i często mimowolna łza zdradzała jej wzruszenie i niepewne życzenia. A kogoż mogła kochać? jakim sposobem mogła powstać ta namiętność? W tém była jakaś tajemnica.

Paul L... gubił się w domysłach, ale ponieważ tkliwie kochał córkę, postanowił przeszkodzić ziemi, które czyniło gwałtowne postępy.

- Kochana Eufemjo, rzekł do niej, od niejakiego czasu, stałaś się bardzo poważną, o czemże zamyślasz się? Powiedz mi bez obawy; wszak wiesz ile cię kocham! Czyliż jaki młody człowiek podobał ci się szczególnie? czy myślasz o małżeństwie? Jeśli to tylko parija stosowna, nie wątpisz przecie, ile byłbym szczęśliwym, łącząc cię z tym któryby twoje szczęście mógł zapewnić!...

Tak, mój ojcze, wyznaję, że kocham... odpowiedziała Eufemja z tątrwogą i pomięszaniem, którego nie może uniknąć młoda dziewczica, czyniąc podobne wyznanie, nawet swemu ojcu.

— A jakże się zowie ten którego kochasz? zapytał pan L.,... zadowolony, jak ten któremu się zdaje, że trafił na ślad tego czego szuka.

— Jest to jego, równie jak moja tajemnica odpowiedziała spokojnie Eufemja. Nie mogę nią rozrządzać bez jego zezwolenia. Pozwól więc ojcze, abym zamilczała jego imię, dopóki on sam...

To zamilczenie bardziej jeszcze pobudzało ciekawość pana L...; zaczął naglić z zapytaniem, aż nakoniec Eufemja za trzy dni obiecała mu wyjawić wszystko.

Nazajutrz po tej rozmowie, dyrektor nowego towarzystwa zabezpieczenia małżeństw, odwiózł swego pieniężnego współnika.

— Dzień dobry, przyjacielu! zawołał pan L... nie zgadniesz nigdy.

— Cóż takiego.

— Córka moja doznaje już tkliwych uczuć.

— Może to są skutki zabezpieczenia.

— To są cudowne skutki! oto dopiero miesiąc jak jest zabezpieczoną! istotnie jesteś bardzo szczęśliwy...

— Ten przypadek służy naszej sprawie.

— Jeszcze jeden podobny przykład. a interes nasz pod niebo pójdział...

Tak mówili, kiedy weszła Eufemja. Zarumieniła się widząc młodego dyrektora.

— To moja córka, rzekł pan L... do swego przyjaciela.

— Bardzo piękna!... zaręczam że nim dojdzie dziesiętnastu lat skończonych...

— Mój ojczu, rzekła Eufemja spoglądając na przemian na dwóch rozmawiających, przyrzekłam ci dać poznać tego którego kocham; otóż widzisz go!

— Czy podobna! zawołał pan L... osłupiały.

— Podług naszych ustaw, rzekł poważnie młody dyrektor, powinienem wszelkimi siłami starać się aby oznaczony termin nie minął, bo inaczej....

— Słusznie! Ale, Eufemjo, jakimże sposobem poznałaś tego pana.

— Powiniennem używać wszelkich środków ażeby...

— Widziałam go po pierwszy raz na wsi, ale tylko przechodzącego; potem, przychodził codziennie, pomagał mi polewać kwiatki; przechadzaliśmy się w parku, pisał dla mnie wiersze, rysował przeszliczne widoki w moim albumie; nakoniec, ponieważ odwiedziny jego były zbyt krótkie, sądziłam że w Paryżu będę mogła go widywać częściej i dłużej.

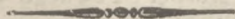
-- W największej tajemnicy, dla tego;...

— O, kochany dyrektorze, jesteś zręcznym człowiekiem! zawołał pan L... jakby pomięszany tém wszystkiém co słyszał.

-- Zapewniam pana że czyniłem tylko moją powinność.

— Nie mam nic przeciwko temu, córka moja kocha cię, bierz ją, — i pięćkroć sto tysięcy posagu.

— Złota sprawa! zawołał młody dyrektor, biorąc rękę swojej narzeczonej. To nam sprowadzi mnóstwo klientek i zarobiemy miliony.



POKUSA.

Z doświadczeń życia mego nieboszczyka ojca, z których bogatego skarbu, niekiedy w chwilach poufałej rozmowy, udzielał mi rozmaite ustępy, przypominam sobie okoliczność godną uwagi, o której szczegółach przez bliskie swoje stosunki z domem B***, lepiej był on zawiadomionym jak kto bądź inny.

Bankier v. B*** często w rannych godzinach zajęty był w swoim pokoju ważeniem i rozgatkowaniem swoich pieniędzy, przy której to robocie zwykle znajdował go jego cyrulik. Bez zachodu zwykł on był w takim przypadku odsunąć nieco krzesło od stołu, na którym kupy złota leżały, poczem cyrulik przystępował i wykonywał swoją służbę. Pewnego rana postrzegł pan B***, że młodemu cyrulikowi drży ręka, i

czując się lekko skaleczonym, rzekł cokolwiek niespokojnie. „Ostrożnie mój przyjacielu, może biegleś prędko i zmeczyłeś się; odpocznij lepij przez chwilę.“ Cyrulik uczynił to, mówiąc, że coś nakształt omdlenia napadło go! Po kilku chwilach uspokoił się, i dokończył roboty pawną ręką. Następnym razem, to samo — młodzieniec drżał jeszcze bardziej. — Pan v B*** uczuł dotkliwe skaleczenie; nieco rozgniewany wyrzucał młodemu człowiekowi jego nieostrożność, ocierając chustką krew która ciekła z ranki. Cyrulik oparł się pobladły jak trup o stół na którym złoto leżało. Nagle rzucił się do nóg p B*** i ściskając jego kolana, błagał o łaskę, o litość. Poczciwy i dobroduszny bankier, domyślił się, że jakiś błąd lekkomyślności młodzieńczej postawił biednego chłopca w potrzebie pieniędzy, wyjaśnił sobie w ten sposób jego drżenie i pamięszanie i zapytał przyjaźnie: „Wieleż potrzebujesz mój przyjacielu?“ Ale cyrulik odpowiadał tylko łkaniem, wzdychaniem i wskazywaniem na stosy złota. P. B*** nie wiedział co o tem sądzić. Nakoniec młodzieniec wyjąkał te słowa:

— Na rany zbawiciela, nie wpuszczaj mię pan więcej do tego pokoju, nie pozwól mi zbliżyć się do tego stołu! Szatan spogląda na mnie z pośród

tego złota. Dwakroć już z nim walczyłem do upadłego prawie – jestem bardzo występny człowiekiem, ponieważ zły duch tyle ma nademną władzy – ale nakoniec, muszę panu wyznać, uczyń ze mną co zechcesz, kiedy patrzałem na to złoto, tak mi było, jakby tajemna jakaś siła prowadziła brzytwę w moją rękę, ahym nią...

Poblady z przerażenia, powstał pan B*** i odstąpił parę kroków od tego który przed chwilą chciał być jego mordercą. Już miał w ręce sznurek od dzwonka, aby zadzwonić na służących, w tém oko jego zwróciło się raz jeszcze na nieszczęśliwego młodzieńca, który po tém okropnym wyznaniu, przyszedł do siebie, stał się widocznie spokojniejszym, i wesoło oczekiwał swego uwięzienia. Tak łagodne, szlachetne oblicze, nie skażone dotąd ani jednym rysem występka; jedyny syn kochających rodziców; to wszystko zważywszy pan B***, puścił szybko sznurek od dzwonka, przybliżył się do młodzieńca, uprzejmie ujął go za rękę i rzekł:

— Przyjacielu, przede wszystkiém, upadnijmy na kolana i błagajmy Wszechmocnego! Uklękli oboje ale modlitwę serca, którą pan B*** odmówił w tej chwili, uznając siebie grzesznikiem i współwinowajcą tego, przez Boga tylko odwróconego

występku, przez to, że młodzieńca tego, blaskiem swego złota nad siły jego kusił, tę modlitwę, Bóg tylko słyszał, i dzięki jego nieograniczonej dobroci, wysłuchał. Bo gdy potem pan B***, uwolnił młodego cyrulika od przychodzenia do zwykłej usługi, nie odpychając go jednak, młodzieńiec ten stał w dobrych skłonnościach które przewyciężyły najdrazliwszą pokusę, prowadził się uczciwie i sumiennie, a nawet został wzorowym obywatelem i ojcem rodziny, i jak to w późniejszym wieku często mówił, nie miał gorętszego zyczenia, jak aby mógł krwią i życiem swoim dowieść Panu B*** swojej wdzięczności, do czego jednak z tej strony groba nie znalazł żadnej sposobności.

„Tam, przed Bogiem, w wieczności odwdzięczę mu się!“ zawołał przy zwłokach pana B*** i sam opowiedział rodzinie jego, która za słowa o tém nie wiedziała, o całym tém zdarzeniu, które nam za przestroagę służyć może, abyśmy nikogo, a szczególnie służących, przez zaniedbanie, albo przez przedstawienie wielkich bogactw, do ztego nie pociągali.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

SPIS RZECZY.

W TOMIE PIĄTYM ZAWARTYCH.

PÓŁROCZE DRUGIE.

	str.
<i>Czerwona skala (ballada)</i>	53
<i>Historja miłości</i>	93
<i>Noga ucięta</i> ,	57
<i>Pociechy balowe</i>	183
<i>Pokusa</i>	212
<i>Szczęście w grze</i>	3
<i>Towarzystwo zabezpieczenia</i>	199
<i>Życie śpiewaka Duprez</i>	67